Nr. 202. Lwów — Wtorek dnia 2 Września. Rok 1902.

[illegible]

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

[illegible]

Dziś: św. Justa B. Samuela Pror. | Jutro: św. Bron. i Izabeli. Tadeusza Ap.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o g. 5 m. 25 | Zachód „ 6 m. 33

Długość dnia godzin 13 minut 8 | Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Wycieczka do „butnych“.

Po Malborgu — Poznań. Król Wilhelm II po raz wtóry przybędzie jutro do stolicy Przemysława, ale po raz pierwszy wjedzie do niej z ogromną pompą, jak niegdyś do zdobytych miast wjeżdżali cezarowie starej Romy. U bramy Berlińskiej poda mu burmistrz na tacy klucze grodu i w imieniu mieszkańców złoży mu wiernopoddańcze hołdy; poczem, otoczony książętami dynastycznymi, jenerałami wojsk obcych, licznym a świetnym orszakiem, przesunie się król środkiem wojskowego szpaleru przez ulice, zapełnione Niemcami, których tłumy przybyły z całego państwa na zaproszenie hakaty, aby miasto miało pozór nawskróś pruski, — i stanie kwaterą w jeneralnej komendzie, jakby na znak, że w tem mieście i w tym kraju, dla którego ono jest stolicą, rządzi prawo wojenne, prawo bezwzględnego zdobywcy. Następnego dnia, a więc we środę odbędzie się wojskowa parada, poprzedzona manewrami piątego korpusu, który niby będzie bronił miasta od nieprzyjaciela, idącego ze wschodu. We czwartek znowu uroczystość wojskowa: odsłonięcie pomnika Fryderyka III, przedstawionego w mundurze marszałka z roku 1866-go i 1870-go, a potem uroczysty wyjazd do gmachu stanów prowincyonalnych na ucztę, podczas której zabrzmią „skrzydlate słowa“, może podobne do malborskich, a może nieco oględniejsze, bo właśnie zaczęły teraz jęczeć dzienniki hakaty, iż rząd postanowił „dolać trochę wody do wina polityki antipolskiej“.

Nie wiemy, czy ta nadzwyczajna pompa, z jaką Wilhelm II będzie występował w Poznaniu, ma posiadać jakieś symboliczne znaczenie, czy też po prostu król pruski coraz bardziej folguje swojej skłonności do naśladowania cezarów starej Romy. W każdym razie, tych, którym „biada“, tam nigdzie nie będzie: ani u bramy Berlińskiej wśród członków rady miejskiej, ani na ulicach, ani na uczcie w gmachu stanów prowincyonalnych. Książęta dynastyczni, między którymi, zdaje się, nie będzie austryackiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, bo go śmierć księżny Wirtemberskiej okryła żałobą, angielski minister wojny Brodrick, angielski marszałek Roberts, rosyjski jeneralny gubernator w Warszawie jenerał Czertkow, dygnitarze wojskowi francuscy, włoscy, szwedzcy, nawet tureccy — wszyscy oni, zaproszeni do Poznania, aby osobiście się przekonali, że to jest miasto nawskróś niemieckie, widzieć tam będą tylko tych, którzy słowem i czynami głoszą, że zwyciężonym biada, ale zwyciężonych nie ujrzą, bo oni zamkną się w swych domach, zasłonią swe okna, zamilkną tak, jakżeby ich wcale nie było — i to będzie ich jedyną odpowiedzią na wrogi sposób rządzenia, na mowę malborską, na pompatyczny wjazd do ciemiężonego grodu i na te grzmiące słowa, które zapewne padną we czwartek, podczas uczty. Tylko zwierzchnik archidyecezyi — jeżeli nie sam, bo jest rekonwalescentem, to przez zastępcę swego — musi powitać panującego, jeżeli mu się podoba zajrzeć do jednej ze świątyń tej wiary, która w Wielkopolsce jest upośledzana. Z żadnym innym Polakiem król się nie spotka, ale też od żadnego z dala czy z bliska nie dozna najmniejszej przykrości, bo w ich naturze, religii, tradycyi głęboko tkwi przeświadczenie o niegodziwości wszelkiej zemsty. Zgromadzony zewsząd w Poznaniu legion tajnych policyantów będzie strzegł króla pruskiego chyba tylko od zamachów anarchistów, a dowodzenia dzienników hakaty, że Wilhelm II będzie wystawiony w Poznaniu na niebezpieczeństwa ze strony polskiej, są tylko ich zwykłem oszczerstwem.

Obcy dostojnicy wojskowi nie po to przybędą do wielkopolskiej stolicy, aby podziwiać potęgę pruskiej kultury i samą swą obecnością zaświadczyć, że ta prowincya jest prawie pruską, bo podobnego świadectwa nikt od nich nie żąda, ani oni dać go nie mają prawa. Taką misyę narzucają im pisma hakaty, same się tem ośmieszając. Ci dostojnicy przybędą głównie na manewra, jak to jest w powszechnym zwyczaju, a że ich przybędzie dużo, że z samej Rosyi zjawi się podobno aż dwudziestu jenerałów pod przewodnictwem naczelnego dowódzcy wojsk, rozlokowanych wzdłuż pruskiej granicy, to tylko dowód, że wszystkich ich zaciekawia pytanie: jaka jest militarna potęga Prus na wschodzie tego królestwa?

Zbliżanie się do mety.

Z głosów prasy półurzędowej zarówno austryackiej jak i węgierskiej, dotyczących rokowań ugodowych, wnosić można, że jakkolwiek jest jeszcze wiele punktów spornych do załatwienia, to jednak mimo tego rozbicie się rokowań jest już zupełnie wykluczone i ostateczne porozumienie się obu rządów jest tylko kwestyą kilku lub kilkunastu dni. Zachodzące bowiem jeszcze różnice dotyczą kwestyi czysto fachowych, a polityczna strona kwestyi jest wyrównana. Bądź co bądź zatem w październiku zastanie Rada państwa gotowy już elaborat ugodowy.

Olbrzymim był kompleks kwestyi ugodowych, a każda z nich tak ważna, że już sama przez się wnikała w najżywotniejsze interesa licznych sfer ludności. Pominąwszy już bowiem rozdział wydatków na cele wspólne, który obu rządów bezpośrednio nie obchodził, musieli pp. Koerber i Szell uporać się z tak trudnemi sprawami, jak: kwestya uwolnienia papierów węgierskich od podatku rentowego w Austryi, nieprawne pobieranie przez Węgry podatku transportowego od ładunków, spławianych Dunajem, nieprawne opodatkowanie austryackich magazynów komisyjnych na Węgrzech, popieranie przemysłu węgierskiego ze szkodą austryackiego wbrew duchowi i przepisom ugody, klauzula o lojalnem wykonywaniu ugody w przyszłości, kwestya handlu bydłem między obu połowami monarchii, wreszcie taryfa celna. Właściwie zatem cały ustrój ekonomiczny monarchii przechodził przez alembik rokowań ugodowych. Polityczne i parlamentarne trudności komplikowały sytuacyę kilkakrotnie tak, że zdawało się już, iż nie ma wyjścia, ostatecznie jednak udało się drowi Koerberowi przezwyciężyć wszystkie trudności i załatwić nawet tak drażliwą kwestyę, jak klauzulę o lojalnem wykonywaniu ugody w przyszłości. Pozostała w końcu tylko taryfa celna i ona to jeszcze stanowi przedmiot kontrowersyi, jakkolwiek w gruncie rzeczy nie powinna była i ta sprawa dawać powodu do politycznej rozterki, gdyż oba rządy stoją na stanowisku umiarkowanej ochrony celnej, tylko że austryacki rząd pragnie chronić przemysł, a węgierski rolnictwo. Walka o taryfę celną była długą i zaciętą. Wiadomo, że rząd węgierski wystąpił początkowo z żądaniem wysokiego oclenia surowców, co byłoby wprost zabójczem dla kilku gałęzi przemysłu austryackiego i wywołało oburzenie wśród fabrykantów austryackich. Od żądania tego, które — jak się zdaje — było dla rządu węgierskiego od pierwszej chwili tylko środkiem wojennym do wywalczenia ustępstw na innych polach, odstąpił on w końcu — tak, że jako jedyny punkt sporny pozostały jeszcze tylko cła przemysłowe.

Różnice jednak co do tych ceł są jeszcze bardzo znaczne, a dotyczą zwłaszcza maszyn, części składowych maszyn i wyrobów tkackich. Dwukrotna konferencya obu prezesów gabinetów pod przewodnictwem Cesarza w Ischlu nie wyrównała tych różnic, co zresztą było do przewidzenia, gdyż układanie pozycyi taryfowych nie jest rzeczą ani Cesarza, ani prezesów gabinetów, lecz referentów fachowych. Ale uzyskano przynajmniej tę wielką korzyść, że przestano traktować owe pozycye celne jako kwestyę polityczną i zgodzono się na traktowanie ich jedynie jako kwestyę fachową. Z tą chwilą rokowania ugodowe straciły swój niebezpieczny charakter i sprawa weszła na właściwe tory. Nie podoba się to wprawdzie ani Koszutowcom, ani wszechniemcom, którzy pragnęliby rozdarcia monarchii, ale natomiast szczere zadowolenie wzbudzić musi we wszystkich, którym przyszłość Austryi leży na sercu. Byłoby to bowiem istotnie szaleństwem z powodu takich kwestyi, jak kontumacya na chore bydło lub cła od części składowych maszyn, rozbijać jedność państwa, które tyle wieków już istnieje i tyle burz przetrzymało. Jest tedy nadzieja, że już niebawem załatwione zostaną także nieporozumienia, dotyczące taryfy celnej i że zwycięży zasada umiarkowanego protekcyonizmu. Węgrzy musieli odstąpić od swych żądań co do wygórowanej ochrony celnej dla rolnictwa, nawzajem Austrya będzie zapewne musiała zadowolić się umiarkowanemi cłami na wyroby przemysłowe.

Dotychczas zawierano ugodę między Austryą a Węgrami z reguły na dziesięć lat. Owóż w interesie ludności byłoby, aby obecnie zawarto ją na dłuższy termin, bo przyznać trzeba, że narażać co dziesięć lat rolnictwo, przemysł i handel na przesilenie ugodowe, to trochę za wiele.

Sejmik relacyjny w Złoczowie.

(Telegram „Przeglądu“).

Na zaproszenie posła Władysława Gniewosza zebrali się dziś w południe w Radzie powiatowej złoczowskiej jego wyborcy z kuryi wielkiej własności. Po ukonstytuowaniu się zgromadzenia, zabrał głos poseł W. Gniewosz i wygłosił następującą mowę:

Szanowni Panowie!

Na zaproszeniu, przez dzienniki ogłoszonem, znaleźliście Panowie tylko mój podpis. Koledzy moi sejmowi przez Panów wybrani, posłują lat sporo i cieszą się zaufaniem, a działalność ich Panom dobrze znana. Jako poseł złoczowski jestem dla Panów homo novus. W ubiegłej kadencyi sejmowej posłowałem przez jedną tylko sesyę, po której nastąpiły wybory. Znanym jest przebieg przedwyborczego i wyborczego zgromadzenia. Sądziłem więc, iż obowiązkiem moim stanąć przed Panami, wypowiedzieć, jak się na stosunki narodowe i krajowe zapatruję i wysłuchać powątpiewania i zarzuty, lub też rady i przestrogi, spowodowane moją poselską działalnością, jak również sądem moim o sprawie publicznej.

W ciałach parlamentarnych mała tylko część jednostek powołaną jest do kierownictwa. Ogromna większość jest pionkami na politycznej szachownicy. Należę do pionków z wielu powodów, a raczej do jednostek, niemających decydującego wpływu. Wiedza i zdolności nie kwalifikują mię na przywódzcę. Oprócz tego temperament mój nie dozwala mi zbyt często ukrywać myśli i uczuć, których nie wyjawiać indywidualnie pożyteczniej. Nie umiem nienawidzić Polaka, w jakimkolwiek on obozie, gdy ma ręce czyste. Z żywiołową siłą każe mi moje ja wmyślać się w pobudki, kierujące uczuciami, myślami i czynami Polaków innych, jak moje, zapatrywań. Tem powodowaną jest częstokroć pewna względność, pewne wyrozumienie. U nas te moje właściwości deskwalifikują od zajmowania wybitniejszego stanowiska. Konstatuję to i przechodzę do mej działalności poselskiej.

Działalność moja w Sejmie skromna i mała. Jako wniosek samoistny, wniosłem gotowy cały projekt ustawy lasowej z 200 składający się paragrafów. Byłem sprawozdawcą w kilku przydzielonych mi w komisyach sprawach wogóle mniejszej wagi. Nie umiem nie być tam, gdzie być jest moim obowiązkiem, nie jest zatem żadną zasługą, iż nie opuściłem posiedzenia sejmowego i byłem na wszystkich posiedzeniach komisyi, do których należałem, o ile dwie równocześnie nie obradowały. Tyle o mnie.

Nie czas dziś liczyć wiersze pisane i słowa wypowiedziane w Izbie sejmowej czy komisyach. Nie czas mówić o drobnych zajęciach zwykłego członka sejmowego, gdy podsuwają nam, byśmy sobie Hamletowskie stawiali pytanie: „być, czy nie być“, Z pod murów Malborga padła odpowiedź „nie być“. Czy hasło to jest przyszłości naszej znamieniem? Nie i stokroć nie! W nas samych dość siły i wiary, by te słowa nie ziściły się ani dziś, ani w przyszłości. Owo prusactwo rozleci się i zniknie, a my biedni i pognębieni — mam tę głęboką wiarę — żyć będziemy, rozwijać się i rozszerzać. Lecz żyć możemy tylko wtedy, gdy z niejednem zerwiemy, z niezgodą, z posądzaniem i tylu innemi wadami, gdy polskości na frazesach lub zjadliwie drukowanej bibule opierać nie będziemy, gdy ducha czasu i postępu zrozumiemy, gdy sami siebie bezustannie podnosić i poprawiać moralnie i materyalnie będziemy, zagrzebując pozostałe resztki uprzedzeń stanowych, szukając wspólnej i równej pracy dla Polski.

Koło sejmowe przez trzy dni radziło, jak odpowiedzieć na malborską mowę. Rezultat był mizerny. Nie wolno nam było dla dobra Polski dać takiej odprawy, jaka się należała, bo mamy tam braci. Nie wolno nam było narażać Austryi na trudności polityczne. Wolno nam jednak było stanąć razem i złączeni z prawej i lewej strony Izby sejmowej, jedynej parlamentarnej reprezentacyi polskiej, przyjąć nie przealembikowane stylistycznie i logicznie silniejsze oświadczenie, że żyjemy i że żyć będziemy.

Muszę tu kilku słowy dotknąć stanowiska delegacyi polskiej w Peszcie. Godnem było stanowisko, które zajął prezes Koła polskiego, nie przyjmując przewodnictwa delegacyi austryackiej. Poważnemi, politycznie dobremi były słowa, które p. Jaworski wypowiedział w odpowiedzi na mowę w Malborgu. Lecz trzeba było dalej konsekwentnie postępować. Nie wolno było głosować przeciw trójprzymierzu, ale należało usuwać się od głosowania, a w najwyższem miejscu akt ten wytłumaczyć.

Bracia nasi w Wielkopolsce i Szląsku pruskiem pod pruską pięścią. Nad Niemnem, Wisłą, Dniestrem i Dnieprem nie mniej ciężkie, cięższe nawet życie. I tam point de rêveries. Objęcie rządów przez Mikołaja II pobudziło wiele niespełnionych nadziei. Do olbrzymiego szeregu zawodów, rozwianych illuzyi, przybyły nowe. Ciężkie Polaków pod zaborem rosyjskiem życie i godną podziwienia żywotność nasza i siła. Trzecie zaborcze mocarstwo, Austrya, po 80 latach germanizacyi, pod wpływem klęsk wojennych nie mogło nas dalej tak samo dusić i gnębić. Nastała konstytucyjna era. Mogliśmy przeprowadzić częściową bardzo wadliwą organizacyę autonomicznego zarządu. Krok za krokiem wypieraliśmy wysysających przybyszów z Gracu, Eger i Pragi. Rozumną i konsekwentną polityką zdobyliśmy pewne znaczenie w państwie. Lecz powiedzmy szczerze: czy nam dobrze? czy mamy to, co się nam w Galicyi należy? czy zasobność i wykształcenie wzrosły tyle, ile wzróść były powinny? czy zdobyliśmy spokój i zaufanie wszędzie tam, gdzie je mieć winniśmy? Niestety odpowiedź przeczącą da każdy, kto trzeźwo na nasze patrzy położenie. Zbyt Szanownym Panom znane stosunki, codzienne życie tak liczne ujemne daje dowody, iż szerzej rozwodzić się nad tem nie będę, gdyż w wielu i zbyt wielu rzeczach niestety nie stanowi Sejm, lecz parlament centralny.

Położenie Galicyi ekonomiczne jest takie: większa własność niknie już to wskutek parcelacyi nierozumnie prowadzonej, już to wskutek wykupywania wiosek przez wielkie latifundia. Włościaństwo ubożeje przez podział gruntu, małą cenę produktów, nie możność znalezienia często zajęcia w kraju. Mieszczaństwo jest ubogie z bardzo nielicznymi wyjątkami lichym swym dochodem zaledwie może utrzymać rodzinę. Warstwy robotnicze biedują, bo dla nędzy i zastoju ogólnego nie mają często możności zarobkowania. Przemysłu prawie nie ma, a ten, co jest, znachodzi nieprzejednanych wrogów, mających na czele ministerstwa, a w pierwszym rzędzie ministerstwo finansów i jego organa. Wszelka produkcya nasza nie znachodzi należnej ochrony i pomocy, przeciwnie na każdym kroku spotyka niechęć i przeszkody. Rodzi się z takiego położenia wzajemna i ogólna nieufność, rodzi się apatya. Setki milionów spoczywają w bankach, niski właścicielom dają one procent, nie przyczyniając się do ogólnego dobrobytu, bo nie mamy odwagi kapitały w przedsiębiorstwa lokować.

Budżeta krajowe, powiatowe i gminne wykazują zwiększające się wydatki tak co do rodzaju jak i wysokości, a żadnego nowego, a zwiększającego się przychodu przeciwstawić wydatkom nie mogą. Na groszu podatkowym stoi wszystko, a Panowie wiedzą, że Galicya ze wszystkich prowincyi Austryi opłaca największe dodatki krajowe. Deficytu kraj obecnie przypadkowo nie ma, lecz słowa referenta komisyi budżetowej Badeniego zapamiętać należy: „z wielką troską, myśleć dziś trzeba o budżecie na rok 1904“.

Takim jest stan ekonomiczny, a takim być nie powinien, bo danych jest dużo, aby lepiej było. Skarby różne kopalniane mamy; węgiel jest w różnych częściach kraju, siły wody olbrzymie czekają zużycia, produkcya rolna zdwojona być może, a produkta rolne, po przerobieniu w kraju, winny być sprzedawane. Mamy cenny i potężny kapitał w zdrowej, inteligentnej a bardzo licznej ludności. Tych jednak bogactw nie umieliśmy, a z winy rządu nieskończoną ilość razy nie mogliśmy wyzyskać. Stała i ciągła jest klęska emigracyi, której zapobiedz może tylko rozumniejsza, intensywniejsza gospodarka krajowa. Niemal 90 dusz na kilometr kwadratowy, to gęstość ludności większa jak w Niemczech, Francyi i bogatych przemysłowych prowincyach Austryi. Upływ ludności dziś jednak jest smutną koniecznością, a jeżeli Stany Zjednoczone będą zamknięte na mocy nowych ustaw, możemy obawiać się w kraju ruchów i wypadków bardzo groźnych. Wychodźtwo robotników na czasowy zarobek nie jest klęską krajową, lecz zużycie tych sił u siebie w kraju byłoby stokroć korzystniejszem, a doświadczenia ostatnich tygodni wykazały, że to jest częściowo możliwem. Tu jednak potrzeba uczciwego pośrednictwa, które winny objąć powiatowe i krajowe biura. Jeżeli prawdą jest, iż zaprzedano zbawienny projekt o biurach pracy za misę soczewicy, za usunięcie obstrukcyi ruskiej w Sejmie, to układ tego rodzaju jest ciężką krajowi zrobioną krzywdą.

Ogromne pole do pracy dziś stoi otworem. Konsumcya tak ludnego kraju jest bardzo znaczna. Wiele bardzo zakładów przemysłowych miałoby zbyt wytworów zapewniony, zaspakajając tylko konieczne i codzienne potrzeby. Lecz trzeba zrozumienia stanu kraju ekonomicznego i socyalnego, silnej woli i takiej wytrwałości, jaką okazały Węgry, jak swego czasu okazała Lombardya, jaką dziś widzimy w Rumunii. Trzeba oduczyć się tworzenia kacyków i nadawania im zalet i zdolności, których nie mają. Trzeba powiedzieć sobie, że protekcya i podchlebstwo nie zastąpią wiedzy i zdolności. Uznać należy, że dotychczasowa akcya przemysłowa zrobiła fiasko, miliony kosztujące, bo sądzono, że pen

---

39)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść

(Ciąg dalszy).

XI.

Olga była w Sławicach dopiero od kilku dni, kiedy pewnego wieczoru najniespodziewaniej zjawił się tam Gorwicz.

Przyjechał chmurny, opryskliwy, i zastawszy Olgę samą, czytającą przy lampie w swoim pokoju, przywitał ją ze złośliwym, ironicznym przekąsem; oczy jego przytem niespokojnie, podejrzliwie biegały z przedmiotu na przedmiot, jakby wyśledzić chciały i spodziewały się zobaczyć coś takiego, coby troskliwie przed nimi utaić chciano.

Nie mógł jednak spostrzedz nic szczególnego ani w domu, ani w zachowaniu samej Olgi.

Zdziwiła się bardzo jego przyjazdem, lecz nie okazała ani zdziwienia, ani obawy, a potem była dla niego jak zwykle wyniosłą i zimną, lecz nie robiła bynajmniej wrażenia osoby, mającej coś do ukrycia przed światem.

Rozeszli się dnia tego dość wcześnie, po kolacyi, spożytej, jak zawsze, w milczeniu. Olga zawołała służącego, kazała mu przygotować dla męża jeden z gościnnych pokoi, potem powiedziała Gorwiczowi zimno „dobranoc“ i odeszła do siebie.

On patrzył za odchodzącą wzrokiem, w którym była zawistna, podejrzliwa ciekawość.

Nie, stanowczo nie było w jej zachowaniu się ani cienia przestrachu i zmieszania!

Umiała widocznie dobrze udawać — oto jedyne przypuszczenie, jakie nasunęło się na myśl przewrotnemu światowcowi.

Był zbyt zepsuty, aby natychmiast skwapliwie nie uwierzyć w złe, kiedy były choćby najlżejsze jego pozory.

Wystarczył jeden walc Olgi z dawnym narzeczonym na owym balu kostyumowym i wyraz jej twarzy, jakby odurzony, prawie nieprzytomny, wtedy, gdy tańczyć przestała, wystarczył ten jej nagły, niewytłómaczony wyjazd na wieś wśród najgorętszego karnawału, wystarczyły jedna lub dwie złośliwe uwagi Żelskiej, że wyjazd ten jakoś dziwnie zszedł się z nagłym usunięciem się Romana Sławskiego od balów i zabaw, aby odrazu, bez żadnych innych powodów posądzić żonę o stosunek miłośny z młodym malarzem.

Sławice były tak blisko Wierzbowa, gdzie mieszkała matka Romana. W zimie, wśród zupełnej wiejskiej samotności, Olga będzie miała wszelką swobodę widywania się z kochankiem, ile razy zechce...

Zazdrość zawrzała w nim, wściekła, brutalna, ta najniższa z zadrości, czysto fizyczna, w której nie ma ani cienia miłości lub żalu, lecz sama tylko żądza i nienawiść.

A był w tej zazdrości i spory podkład próżności, zranionej do głębi tem, że ta Olga, ta żona, ta własność jego, która, jak myślał, bez wahania cała oddała się tamtemu, jego od lat całych już trzymała z daleka od siebie z pogardliwą, druzgocącą stanowczością i dumą, o którą, jak o skałę, rozbijała się bezsilna wściekłość jego.

Przyjechał więc za nią niespodzianie, rojąc w myśli brutalne obrazy zemsty, ciesząc się nadzieją, że tę pyszną kobietę, która mimowoli zawsze mu imponowała, będzie mógł wreszcie zelżyć i sponiewierać, i to słusznie, odpłacić jej wreszcie sowicie za upokorzenia, których mu dotąd nie szczędziła.

I kiedy przyjechał, kiedy zastał ją w tym ogromnym pałacu, prawie pustym, jakby wymarłym wśród ciszy i zimowych śniegów, kiedy zastał ją samą, spokojną i dumną, zdziwioną jego widokiem, lecz nie spuszczającą przed nim wzroku, doznał jakby rozczarowania.

Sam może dokładnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że jakikolwiek choćby najdrobniejszy dowód jej winy sprawiłby mu prawdziwą, dziką jakąś radość.

Nazajutrz spotkali się dopiero przy obiedzie.

Gorwicz był zły, opryskliwy, parę razy w rozmowie szyderczo natrącił o Wierzbów i jego mieszkanki, na co Olga odpowiedziała zupełnie spokojnie, że nic o nich nie wie, i nie widziała ich wcale od przyjazdu swego z Warszawy.

On na to zaczął śmiać się nienaturalnie, ironicznie, a kiedy ona z brwią ściągniętą spytała go sucho o powód tej wesołości, odpowiedział tylko krótko:

— Dajmy temu pokój!

Nie widziała go przez całe popołudnie; wyszedł gdzieś z domu.

Nie domyślała się, że tymczasem, w najnierozsądniejszy, najbardziej ubliżający jej sposób, wypytywał i badał służbę, chcąc koniecznie wynaleźć coś podejrzanego w teraźniejszym jej pobycie w Sławicach.

Przy kolacyi, gdy usługujący do stołu lokaj przypadkiem upuścił nóż i widelec na ziemię, Gorwicz zerwał się z miejsca i z wściekłością uderzył go kilkakrotnie w twarz.

Służącemu aż łzy stanęły w oczach i w milczeniu wyszedł z jadalnego pokoju.

Olga aż drżała z oburzenia i odrazy.

— Szkoda wielka, że ci nie oddał — rzekła sucho, gdy zostali sami. — Miałbyś naukę, że się z ludźmi po ludzku obchodzić trzeba.

— Co? Takie bydlę? Taki chłop? On śmiałby mnie tknąć? Mógłbym mu wszystkie kości pogruchotać, a on aniby się odważył pisnąć!

Olga gwałtownie wstała od stołu i wyszła z pokoju.

Była tak wzburzona, że nie czuła już siły do panowania dłużej nad sobą.

Brutalne zajście ze służącym wywołało znów w jej duszy szalony napływ wstrętu i nienawiści do męża.

Jak długo siedziała tak w swoim pokoju, rozstrojona, przybita, czy to trwać mogło godzinę, czy dłużej, nie wiedziała sama.

Nagle otwarły się drzwi; wszedł Gorwicz.

Zerwała się z miejsca.

— Czy wolno wiedzieć, czego sobie tutaj życzyć możesz? — spytała wyniośle.

— Oho! z tak wysokiego tonu zaczynasz, moja pani! — zadrwił Gorwicz i rozsiadł się na kanapie, swoim zwyczajem rozkładając się niedbale i wyciągając nogi gdzieś aż na środek pokoju.

W domu, gdy nie było obcych ludzi, zawsze w nim z po za powłoki wykwintnego światowca wyzierał parobek.

Olgi oczy zapaliły się gniewem.

— Przedewszystkiem proszę cię, nie rób mi z domu karczmy! Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, zachowuj się, jak człowiek dobrze wychowany, a po drugie, raz na zawsze wypraszam sobie takie niegodziwe poniewieranie służących, jak dziś przy kolacyi. Bić człowieka, który się bronić nie może, to podłość!

Gorwicz patrzył na nią złośliwie i kiwał drwiąco głową.

— Ho, ho! Skądże znów taka chłopomańska filantropia? Z chłopem tylko batem dojść można do końca, cham jest na to stworzony, żeby kijem brał! Póki pan bił, póty był porządek na świecie! Ja to już mam we krwi i tych waszych głupich nowatorstw nie uznaję wcale!

Białe zęby Olgi błysnęły z pod warg, jakby ukąsić nimi chciała.

— Czyś odziedziczył to po dziadku, który kiełbaski wyrabiał i wołami handlował? — spytała złośliwie.

Zerwał się na równe nogi, zakląwszy straszliwie.

Ona zaczęła śmiać się dźwięcznym, niepowstrzymanym śmiechem.

— Boże! Jakiś ty śmieszny! Przecież niczego się nowego nie dowiedziałeś. Wiedziałeś dawno o tej zaszczytnej kolligacyi i wiedzą o niej dobrze wszyscy, którzy cię znają. Bądź pewny, że nikt nie wierzy w ową legendę o „młodszej linii litewskich Gorwiczów“. Czy doprawdy tak bardzo dotknęły cię moje słowa? Nie rozumiem, dlaczego. Jeżeli ten twój protoplasta był uczciwym wolarzem, czy tam masarzem i rzetelnie handel swój prowadził, nie masz wcale potrzeby wstydzić się go; zdaje mi się, że raczej on, gdyby żył jeszcze, mógłby wstydzić się ciebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

X. lub pan N. potrafi być zarządcą lub kierownikiem, gdyż był złym profesorem, nieudolnym rolnikiem lub adwokatem kuszyperdą bez klienteli. Nareszcie uświadomionem być winno, że zapatrywania polityczne a wiedza fachowa to dwie różne rzeczy. Czytałem kiedyś, że Schneider, właściciel Creuzot, oddał kierownictwo jednego działu fabryki zapalonemu przeciwnikowi Napoleona III. Doniesiono o tem cesarzowi, który z tego powodu Schneiderowi uczynił wymówkę. Na to usłyszał cesarz odpowiedź od zwykle potulnego i zupełnie oddanego Schneidra: „Najjaśniejszy panie! N. N. będzie robił lokomotywy, a nie panujących.“ Właśnie teraz uczeni nasi badają działalność Lubeckiego. Wczytujmy się w te dzieje i uczmy się, jak on ludzi dobierał i kształcił. Czy choć raz obiło się o uszy Panów, że pytano tego, komu oddawano dyrekcyę jakiego przedsiębiorstwa lub funduszu na nie, o komercyalne wiadomości i doświadczenia? Czy słyszeliście kiedy Panowie, aby którego młodego człowieka wysłano kosztem kraju za granicę do wielkich domów handlowych lub przemysłowych, aby się nauczył osądzać, gdzie jakie gałęzie przemysłu racyonalnie rozwijać się mogą? Czytałem i słyszałem wielekroć razy, że takie kształcenie potrzebne, i mnóstwo młodzieży polskiej z Królestwa podobne w Belgii, Anglii itd. pobiera nauki.

Społeczeństwo całe musi zrozumieć potrzebę wszechstronniejszej pracy i jej popierania. Szeroko patrzeć musimy, jeśli w morzu dzisiejszej produkcyi, dzisiejszego postępu technicznego utonąć nie mamy. Bezwzględnym obowiązkiem wykształceńszych i zasobniejszych przyświecać przykładem. Pewnym być można, że firmy zagraniczne ze stratą sprzedawać będą, pokąd kapitały na cele agitacyjne, byle u nas nie dopuścić do jakiegokolwiek rozwoju produkcyi przemysłowej. Fakt, opowiedziany w Sejmie przez posła Kolischera o możności przez dyrekcyę kolejową stanisławowską stawianym jest dobrą ilustracyą.

Takim jest stan ekonomiczny, a koniecznym jego skutkiem obecny stan polityczny i socyalny. Wszechstronne niezadowolenie, niestety zbyt często uzasadnione, gorycz, narzekanie, burzenie się warstw niewykształconych. Tak szlachcic, jak mieszczanin, jak chłop i robotnik ze strachem oczekują jutra, czy coś nowego nie naruszy jego praw, nie utrudni, albo nieumożliwi jego pracy, nie zniszczy jego dobytku.

Gdyby w logicznym rozwoju zasady autonomii kraj nasz był mógł rozwinąć ją należycie i przyjmując odpowiedzialność za czyny polskiego prawo rządzenia się równorzędnie z władzą państwową — spotkałby nas musiał zarzut, żeśmy wyłącznie winni, gdy się źle w kraju dzieje. Dziś cała władza w rękach rządu — na niego spada odpowiedzialność za większość złego, nad którem bolejemy.

Nieraz słyszy się głosy narzekające na Sejm i Wydział krajowy. Ale, moi panowie, większość tych głosów jest niesprawiedliwą. W latach 36-ciu co zrobiono, jest niemałą zasługą. Cóżmy zastali? Gruzy i pustkę. Dziś przynajmniej gruzy usunięto, pustkę zorano, po części obsiano, po części przygotowano do przyjęcia ziarna nowych prac, nowych myśli; niejedna piękna wzniesiona budowla. I pessymista największy przyzna, że nie cofnęliśmy się w tył, a pewnie, że dużo zrobiono, gdy przejrzy te nieskończone szeregi opozycyi, przeszkód i przewlekań, które najwyższa magistratura autonomiczna zwalczać musiała u rządu na każdym kroku. I dobrze Marszałek krajowy zrobił, gdy ku wiecznej pamięci napiętnował działalność rządu przy załatwianiu Wawelu.

Nikt nie zaprzeczy, że większość sejmowa jest spokojną, niemal potulną. Nikt nie zaprzeczy, że większość nie chce wywoływać większego jeszcze niezadowolenia, zwiększać narzekania. A jednak Sejm obecny jednogłośnie niemal wydał wyrok o rządzie niepochlebny dla rządu. Tak Milewski, jak Stadnicki, Rutowski, Stojałowski i Stapiński znaleźli jedną i wspólną nutę, gdy o rządzie mówić przyszło. I ironią losu, ten, który tylekroć razy gorzką władzy administracyjnej mówił prawdę, który z niezwykłą cierpliwością zbierał daty dowodzące nieudolności, gnuśności, lekkomyślności i braku przewodniej myśli w działaniu rządowem, który w lipcu br. w znakomitym referacie o drogach wodnych całą gamę błędów rządu przedstawił, czuł się powołanym, gdy nie w naszem imieniu, lecz z polecenia samego klubu do kruszenia kopii w obronie rządu. Lecz gdy oskarżając rząd, niezbite stawiał dowody, nie umiał poseł Kozłowski przy obronie ani jednego przytoczyć konkretnego faktu i musiał się zadowolić słodkiemi słówkami.

W krytyce, którą zabrzmiała sala sejmowa, były różnice i bardzo znaczne. Odczuliście to niewątpliwie Panowie, czytając sprawozdania. Dominującą nutą było, że wielka większość uznaje w Wydziale krajowym ludzi rozumnych i dobrych, a nikt w obecnym obozie tego nie zaprzeczył.

Prawie bezwiednie tą psychozą licznych zgromadzeń zapanowało w sejmie uczucie niepokoju i niezadowolenia. Jedną z przyczyn było przekonanie wszystkich, że żyjemy w chwili, w której albo losy przyszłości ekonomicznej nam zaświecą, albo wydani zostaniemy na łup i zgubę. W r. 1904 rozpoczyna się budowa kanałów, a namiestnictwo i ministerstwo prawie nic nie zrobiły, aby zabezpieczyć nasze prawa, aby zapewnić racyonalną regulacyę rzek i potoków, aby umożliwić choćby części Galicyi skorzystanie z tych budowanemi prowadzonych dróg, zarobek i zajęcie lepszym, aby ... Winienem tu wyrazić uznanie Wydziałowi krajowemu, że kilkakroć za dawniejszego i już za obecnego marszałka najdobitniej żądał tego, co nam się z prawa i sprawiedliwości należy i że poparł te żądania argumentami, niczem zbić się nie dającemi. O losie kanałów od Krakowa zbytby długo było obecnie mówić. Nie wiemy, czy też budowanymi nie będą.

I jak, proszę Panów, nie miało panować rozdrażnienie i rozgoryczenie w Sejmie, gdy ciągłe hiobowe wieści od kilku lat obiegają kraj cały, a ostatnimi czasy z przerażającą mnożyły się szybkością. Niepokoje na uniwersytecie i politechnice, walka uliczna po miastach, strejki po szkołach przestraszyć musiały i najspokojniejszych. O strejkach rolnych wiecie Panowie aż nazbyt dobrze. Młodzież wychowują tak, iż ona wierzy, że jest mądrzejszą i patryotyczniejszą od nauczycieli i ludzi, którzy życie i mienie służbie publicznej poświęcili, włóczęgi i pikpokiety swobodnie teroryzują robotników, biorą na siebie ich rolę. Socyalna demokracya powinna śpiewać hymny pochwalne naspół z Prusakami i Moskalami.

(Tu mówca w długim ustępie podnosi fakt znany, że w naszych stosunkach nieraz o wiele łatwiej wszystkiego się dobić krzykactwem i awanturami, aniżeli rozważną pracą. Twierdzenie to mówca popiera licznymi faktami. Przyp. red. *Przegl.*) Dalej mówca powiada:

My Polacy w Galicyi mieszkający mamy obowiązek za wszystkie trzy zabory strzedz myśli i pracy polskiej. Drażliwość tedy jest zrozumiałą i godziwą. Ale drażliwość ta nie powinna pozbawiać nas trzeźwości, umiarkowania i możności trafnego oceniania, kędy iść i co robić.

Tu w pierwszym rzędzie o duchowieństwie wspomnę. Czy duchowieństwo nasze polskie spełnia obowiązki narodowe tak, jak je spełnia naprzykład duchowieństwo czeskie, południowo słowiańskie, albo znaczna część duchowieństwa ruskiego? Co do wschodniej Galicyi z bólem powiedzieć muszę, iż my pragniemy, że pragnie cała Polska, aby część jedna duchowieństwa polskiego obudziła się z narodowego letargu i poczęła czynami objawiać swą miłość Ojczyzny. A jest przepiękne pole działania! W nieświadomym swej polskości Polaku obudzić uczucia narodowe, w ciągnionym do socyalnej demokracyi wskrzesić poczucie wiary i polskości, być przewodnikiem, doradzcą lub karcącym, co należy, w chłopach, robotnikach, mieszczanach i szlachcie, pod dachem swym łączyć i bratać wszystkie zawody, wszystkie stany, brać udział w pracy ekonomicznej, socyalnej: wszak to zadanie godne najwznioślejszego umysłu, najgorętszego serca! Wielkie pole działania tu u nas, gdzie waśnie narodowościowe wymagają tak niestety często działalności duchowieństwa ostrożnej, spokojnej a ożywionej uczuciem miłości wiary świętej i Ojczyzny. Dlaczego między kapłanami jednego Kościoła katolickiego w obu obrządkach tak mało harmonii? Miejmy nadzieję, że młodzi a światli biskupi przykładem i nauką poprawią to, co poprawionem być winno.

Z wielu zagadnień, którym śmiało w oczy popatrzeć należy, jednem z najważniejszych na całym obszarze Rzeczypospolitej jest sprawa ruska. U przywódców ruskich niechęć i nieprzyjaźń do wszystkiego co polskie zwiększa się i gwałtownie rozszerza. Przywódzcy jad ten wszczepiają w szerokie masy nieoświeconego ludu. Radykalne stronnictwa różnych odcieni pod wpływem Kijowa i Genewy, a poparte przez potężną socyalną demokracyę, wzięły ster w ręce i niemal usunęły żywioły rozważniejsze, a powiem śmiało: prawdziwie patryotyczne. Dla nas praca tu na tej ziemi, krwią ojców naszych zroszonej coraz trudniejszą, coraz cięższą. A jednak opuszczać rąk, usuwać się nam nie wolno. Strzeżmy pilnie wszystkiego co polskie, atomu nie urońmy, lecz nie mamy prawa przeszkadzać Rusinom w ich rozwoju cywilizacyjnym. Szkół potrzebują i chcą Rusini, nie należy przeszkadzać w ich tworzeniu.

Czy zasada utrakwizmu wedle znanego wniosku posła Tadeusza Cieńskiego, ma być przyjętą i konsekwentnie przeprowadzoną, nie wiem. Mam bardzo poważne wątpliwości i do decyzyi potrzebowałbym głębokiego namysłu i niejednej wyczerpującej dyskusyi. Myśmy z Rusinów nie umieli zrobić Polaków, z powodu wielu wad naszych, które zupełnie nie znikły i z powodu systemu politycznej działalności, który jeszcze niestety nie zamarł. Dziś o spolszczeniu Rusinów nikt, jak sądzę, teraz nie myśli, ale niech i Rusini zechcą sobie powiedzieć, że nas Polaków nie zruszczą, że ani jednostki polskiej zabrać sobie nie damy. Mimo nienawiści, którą przeciw nam tylu Rusinów pała, nie wolno nam podobnem odpłacać uczuciem. Zawsze sprawiedliwi, przychylni, spokojni być musimy, a to są trwalsze podstawy pracy dla dobra ludności ruskiej i polskiej, niżli spiski, bunty i nienawiści. Ale oduczmy się raz zasady targowania się w tem, co się Rusinom należy, co oni mieć winni, postępując w kulturze, w rozwoju samego języka i swej nauki. Dotychczas mieliśmy dziwnie niezgrabną i ciężką rękę. Umieliśmy zawsze tak się urządzić, iż umożliwiliśmy Rusinom robić nam zarzuty z wszelkimi pozorami słuszności, że cokolwiek uzyskali, jakikolwiek postęp zapisać w swych dziejach mogli, zawsze stało się to nam na złość, wbrew naszej woli, albo też wskutek jakiegoś handlu i przetargu. Fałszywa to zasada. Przeszkadzając, robiąc trudności, pracujemy w myśl żywiołów destrukcyjnych, w myśl skrajnych stronnictw ruskich. Nie chcę zupełnie przeczyć, że dzisiejsza działalność bardzo znacznego odłamu duchowieństwa i inteligencyi ruskiej nie zachęca do zgodnej, przyjaznej pracy. A jednak tego wymaga bezwzględnie dobro całego kraju.

Bardzo doniosłego znaczenia jest dla Polaków sprawa żydowska. Antisemityzmu hasła są dziś głośne i popularne, a boleję, że hasła takie wychodzą zbyt często z ust, które miłość bez względu na wyznanie krzewić mają. Zechciejmy zważyć, że przeszło 10% ludności Galicyi jest żydowską. Proszę uwzględnić, że żydzi są żywiołem zdolnym, pracowitym i przedsiębiorczym. Żydzi jedni mają rozwinięty zmysł kupiecki i asocyacyi. Nie przeczę, że sprawa żydowska jest trudną i skomplikowaną. Nie chcę zupełnie przeczyć, że dużo żydów ma wady i błędy, które społeczeństwo nasze razić, ba, odpychać muszą. Zaznaczę tylko jedno. Proszę nie zapominać, że w Królestwie, z wyjątkiem centrów fabrycznych niemieckich, większa część żydów szczerze z nami pracuje i że taki Tadeusz książę Lubomirski i inni czynni Polacy chętnie wciągają żydów do wspólnej dodatniej pracy. I u nas jest sporo żydów szczerze i gorąco z nami pracujących.

Nie przeczę, że chciałbym, aby ich było więcej. Dużo nad sprawą żydowską myślałem i może kiedyś ogłoszę szkic napisany o stosunku ich do nas. Sprawa żydowska różnolicie i bałamutnie jest u nas ocenianą. O krzykaczach antysemickich nie mówię. I nic dziwnego, bo żydów nikt z nas nie zna. Zwierciadłem duszy narodu jest literatura. A literatura żydowska jest dla nas ziemią nieznaną. Od Kazimierza Wielkiego aktualną w Polsce jest sprawa żydowska, a nie znaleźli się uczeni, którzyby śledzili ruch literacki, obznajomili nas z dziełami wychodzącymi, nie ogłaszali tłumaczeń. Ruch literacki żydowski ma być olbrzymi, a krzyżujące się w tej literaturze prądy gorące i przeróżne. Dziesiątki tysięcy tomów drukują żydzi corocznie o wszystkich gałęziach sztuk i nauk, a o ile wiem, najżywszy ruch na naszej ziemi, od Wilna do Mińska, Berdyczowa, Kamieńca, Brodów i Warszawy. Wobec zwiększania się ilości żydów, wobec Syonizmu, wobec opanowywania socyalnej demokracyi przez żydów, wobec olbrzymich kapitałów żydowskich, nabrała sprawa żydowska cechy pierwszorzędnej dla nas wagi sprawy politycznej i społecznej. Trzeba obrać jakiś kierunek w osądzeniu i działaniu — i ja go wybrałem, i gdybym był raz jeszcze na rozstajnych drogach wybrałbym ponownie, nie znając prawdziwie prądów i dążności żydowskich, drogę, którą nam wiara nasza nakazuje, drogę miłości bliźniego.

Powiedziałem przed chwilą, że drażliwymi być winniśmy, broniąc stanowisk naszych. A stanowiska te zagrożono wszędzie. Dowodem strejki rolne. W dwudziestu kilku powiatach, w czterysta kilkudziesięciu miejscowościach usłuchali chłopi hasła zaprzestania robót żniwnych. Pisma ruskie z *Diłem* na czele pośpieszyły wyświecić genezę i cel hasła. Panowie ci chcą podkopać wszelką własność polską, zmusić do rozprzedania ziemi parcelami Rusinom i wyrzucić Polaków hen za San daleko. Panowie Barwiński, Romańczuk etc. nie boją się wskrzeszać dzikich uśpionych instynktów z przeszłości. Podziwiam ich patryotyzm, lecz im go nie zazdroszczę.

W czterystu przeszło miejscowościach, w których mieliśmy prawo i obowiązek pracować jako Polacy, skutecznem było rzucone hasło. W wielu z tych miejscowości pracowaliśmy poczciwie i zdawało się, że pracą szczerą, gorącą a ofiarną zdobyło się mir i zaufanie. A jednak to była złuda.

Przegraliśmy poważną bitwę.

Trzydziestokilkoletnia praca na wielu polach okazała się dowodnie niewystarczającą, w niejednem wadliwą. Tylko godną rzeczą patryotów i przezornych polityków jest uznać fakt, aby módz ocenić przyczyny klęski i dążyć w przyszłości do naprawienia złego.

Niewątpliwemi są zaniedbania władz, ich inkurya i bezradność, lecz okrzykami za policyą, wojskiem, wyjątkowemi zarządzeniami nie poprawimy złego. Kto Panom ręczy, że rząd centralny nam jest i będzie przychylnym? Kto Panom ręczy, czy Wiedeń nie będzie w przyszłości wygrywać przeciw nam stronnictw niepolskich? Kto Panom ręczy, czy pp. Wittek, Böhm-Bawerk a en premier lieu dr. Körber nie zechcą, aby żywioł szczerze i bezwzględnie polski mniej wybitną grał rolę w kraju, mniej był licznym w reprezentacyi Galicyi w Wiedniu? Nie wiem — lecz przezorność nakazuje wierzyć tylko sobie, swym siłom i swej pracy, aby nie doznać zawodu, jakichśmy tyle doznali od kongresu wiedeńskiego.

Pytamy się co robić, kędy iść? Zdaje mi się, że fakta same dają naukę.

W polityce naszej w parlamencie i Sejmie twardziej i bezwzględniej jak dotąd praw naszych i żądań bronić winniśmy. Obowiązkiem reprezentacyi naszych jest liczyć się więcej jak dotychczas z duchowym nastrojem ludu polskiego. Niewątpliwie musimy strzedz dobra państwa, lecz i ono ma uwzględniać i strzedz naszego dobra. Kto wie bowiem komu to potrzebniejsze. Obstawanie twarde przy uzasadnionych żądaniach nie jest sprzedażą głosów, a uwzględnienie praw i potrzeb naszych przez rząd nie jest zapłatą za bronienie dobra państwa. Mam przekonanie, że nie dość jasno pojęcia te się rozróżnia.

W domu praca ani przerwaną, ani wstrzymaną być nie ma. Związanie interesów i potrzeb w gminach wszystkich mieszkańców we wspólnej pracy ekonomicznej silniejszem być winno. Umizganie się do chłopów i szukanie taniej popularności bezcelowemi ofiarami okupywanej, raczej szkodzi jak pomaga. Traktowanie uboższego du haut de sa grandeur, jak to się jeszcze widuje, ustać raz ma. Tylko ekonomiczna i administracyjna wspólna praca, dająca widoczne korzyści ogółowi, jest potrzebną. Rady powiatowe z biurokratycznych instytucyi w organa żywe zamienić należy. Niech chłop, chcąc poradzić się prezesa, nie potrzebuje kupować jego fotografii, aby go mógł poznać; niech członek Rady osobiście, gdzie może, współdziała w czynnościach urzędowych. Urzędnicy Rad powiatowych nie mogą, jak dotąd, tworzyć siedmdziesięciu kilku korporacyj bez awansu, bez nadziei, że lepsza, pilniejsza, ofiarniejsza praca poprawi egzystencyę ich rodzin, da im szersze pole działania. Aby to stać się mogło, należy dzisiejszą organizacyę przerobić i przemienić na żywotniejszą, lepszą, sprężystszą, należy nam szczerzej i więcej pracować.

Przychodzi mi teraz mówić o trzecim szczeblu autonomicznym — o Sejmie. Bez goryczy tego czynić nie mogę. Nie dlatego, abym skład jego chciał poddawać krytyce; nie dlatego, abym ilość i jakość dokonywanej pracy chciał analizować i oceniać, lecz dlatego, że pytać się ze wstydem muszę, czy dziś Sejm uznanym został za niepotrzebny, zawadzający i szkodliwy, iż go nie zwołują, że obcinają czas na sesyę przeznaczony.

Kto winien? W lipcu mógł Sejm trwać dłużej, ministerstwu była długość sesyi obojętną. Zatem pytam się, kto winien, kto tę ciężką krajowi wyrządził szkodę, iż pośpiesznie odroczono sesyę, iż w sposób skandaliczny przepytlowano budżet, iż pogrzebano ogromne mnóstwo elaboratów komisyjnych, iż uniemożliwiono zbliżenie się ludzi i stronnictw, utorowanie niejednego porozumienia.

Kto winien, że mimo, iż Rada państwa zbierze się w październiku, nie jest teraz Sejm zwołanym? Czy tchórzostwo przed pobytem Wilhelma w Poznaniu, czy potrzeba wzmacniania nerwów i ducha miarodajnych osób w ciszy i spokoju, czy obawa dyskusyi i omawiania strejku, przezorności i zaradności rządu? kto winien: areopag wiedeński, czy jaki areopag, a raczej junta w Galicyi?

Tu przed tem poważnem gronem ludzi rozważnych i spokojnych to zaznaczyć i napiętnować należy. Lwia część zarzutów, które zasłużenie spotyka autonomiczną administracyę, byłaby bezprzedmiotową, gdyby Sejm miał czas potrzebny do należytego spełniania przekazanych mu czynności. Dobrobyt w kraju byłby większy, wykonywanie ustaw lepszem, a co najważniejsza, zaufanie w siły własne i zdolności byłoby silniejszem.

Przestać raz potrzeba w kuryi większej własności z polityką nieco strusią, którą prowadziliśmy. Nigdy słowo krytyki, nigdy sprzeciwienie się t. zw. powagom powiatowym, czy krajowym. Zdawać się czasem mogło, że kurya ta uważa się jeszcze za oś, około której się wszystko obraca. To też daliśmy się ubiedz przez innych w myśleniu i działaniu. W zachodniej Galicyi zdobywczym krokiem po znaczenie i przewagę idzie Bogu dzięki chłop i mieszczanin polski ku całej Polski radości. Idźmy z nim, dajmy mu całem sercem nasze doświadczenie, nasze tradycye narodowe, naszą rutynę w publicznej pracy. We wschodniej Galicyi między nami a chłopem ruskim stanęła wielka część duchowieństwa i inteligencyi ruskiej dla rzekomych celów narodowych, a faktycznie dla przewrotów społecznych. Niech nam się raz oczy otworzą. Żyjemy w środku przemieniającego się społeczeństwa, w którem inną jak dawniej rolę odgrywać mamy. Powiedzieć sobie musimy, że tylko przy gorącem oddaniu się myśli i pracy narodowej polskiej jesteśmy w możności pomożenia sobie. Nie wolno nam żądać jakichkolwiek przywilejów i nie chcemy ich. Ale mamy prawo żądać dla siebie równości wobec prawa, aby ustawy ściśle i szybko wykonanemi zostały — i wtedy, gdy idzie o obronę nas lub praw naszych. Żądajmy tego, a poparcie znajdziemy u wszystkich Polaków, którzy bez względu na stronnictwa stają w obronie polskiej myśli i polskiej pracy, stają w obronie każdego przez Polaka zajmowanego posterunku, a takimi są w polskich rękach pozostające ziemie, na których nietylko chleb produkujemy, lecz które są wszędzie jedną z najważniejszych podstaw narodowego bytu. Jak w walce z prusactwem ogłaszamy każdy kęs ziemi wydarty polskim rękom, tak winniśmy ogłaszać i zapisywać na całym obszarze Polski, co tracimy ziemi, choćby to był i niewielki kawałek.

Pozwólcie panowie, że na zakończenie powiem słówko o sobie. Istnienie i byt mej rodziny z Polską związane. Służyliśmy wedle najlepszej wiedzy Ojczyźnie i ojczystemu postępowi. Na pierwszej karcie zapisów wszechnicy Jagiellońskiej znachodzicie to nazwisko jako dowód, że praca narodowa i postęp w nas zawsze obrońców i rzeczników znachodziły. Niewierny tradycyi nie będę. Dziś staję przed panami, spowiadam się ze swych zapatrywań i oświadczam, że chcę jako szeregowiec dalej pełnić publiczną służbę. Gdyby zapatrywania moje niezgodnemi były ze zdaniem panów, ustąpię godniejszemu. Ktokolwiek jednak mandat od panów otrzyma, nie spełni godnie urzędu, jeśli nie powie swym wyborcom, że tylko w złączeniu ścisłem ze wszystkiemi warstwami ludności polskiej, w równej z niemi i dla nich pracy wielka własność, spełniając swą powinność, będzie czynnikiem społecznie i narodowo potrzebnym, a jako taki, może mieć wpływ na tok spraw publicznych“.

Mowę tę wysłuchali wyborcy ze skupioną uwagą, poczem się rozwinęła dyskusya, której przebieg podamy w jutrzejszym numerze.

Spór o Morskie Oko.

Grac 31 sierpnia.

W sobotę i w niedzielę kontynuował prof. Balzer swą obronę, która była punktem kulminacyjnym całej rozprawy. Była to mowa pod każdym względem świetna. Prof. Balzer przez pół roku gorliwie studyował sprawę, ale też obecnie te studya swoje zużytkował w sposób, który zachwycił Polaków i bezstronnych słuchaczy. Historyk prawa z zawodu, wystąpił z całym aparatem naukowym i z tą ścisłością, która nie puszcza płazem żadnego szczegółu, na pozór zupełnie pewnego, lub mało ważnego, lecz sumiennie go bada i też dzięki tej sumienności, nieraz osiąga nadspodziewane wyniki. Wszelkie metody posiłkowe, używane przez historyków do badania źródeł, zastosował prof. Balzer, uwzględniał w równej mierze poglądy ogólno-naukowe, jak i specyalną ocenę dokumentów, wywody lingwistyczne i interpretacyę prawną zaszłych faktów, nie dziw, że przed tak uzbrojonym przeciwnikiem nie ostała się sofisterya zastępców węgierskich. Z niezmiernie bogatej w szczegóły mowy tej podajemy poniżej niektóre tylko wybitne punkty. Co do kwestyi, czy Białkę należy uważać za dalszy ciąg Białej Wody, czy też, jak twierdzą Węgry, wypływa ona z Morskiego Oka,— to mówca oprócz najnowszej mapy wojskowej, przytoczył jeszcze szereg argumentów, przechylających rzecz na naszą stronę. Potok Rybiego — powiada on — jest małą rzeczką, Białka zaś jest większą, nie może ona więc wpływać do mniejszej rzeczki.

Nazwisko „Białka“ jest polskie. „Bela“ (węgierska nazwa Białki) jest tylko madziaryzacyą naszej polskiej nazwy. Niechże Węgrzy pozwolą nam tedy, abyśmy, skoro wynaleźliśmy nazwę Białka, pod nią rozumieli to, co rozumiemy. Mówca podnosi, że potok, wypływający z jakiegoś jeziora, zawsze nosi nazwę tego jeziora, np. Kolbawskie jezioro — Kolbawski potok; Zmarzły staw — Zmarzły potok; Morskie (Rybie) Oko — Potok od (Morskiego) Rybiego.

Nazwa „Bela“ wskazuje dalej, że tu chodzi o Białą, nie o Białkę; gdyby była Białka, Węgrzy nazwaliby ją „Balka“. Biała Woda jest imię własne, a nie oznacza właściwości tej rzeki, jak twierdzą Węgrzy. Biała jest przymiotnikiem i musi mieć przy sobie rzeczownik, „Biała“, a do tego dodane być musi „rzeka“ lub „woda“. Jest to właściwością języka polskiego, skracać nazwy, np. Sucha Wieś = Sucha, Miedziany = Miedziany szczyt. Pierwszą nazwą była tu „Biała Woda“, drugą „Biała“, trzecią „Białka“. Tak samo córa — córka, wieś — wioska. Nawet Dydyński, który w swoim czasie imieniem Palocsayów zakładał protest, wyzyskiwany dziś przez Węgrów, nazywał Białą Wodę — Białką. W przesłuchaniu świadków z roku 1584, w protokole, na który powołują się Węgrzy, „Bila Woda“ wychodzi na Białkę.

Obszernie i gruntownie omawiał prof. Balcer rozmaite stare dokumenty i na ich podstawie dowodził, że pas kraju między Białką a Dunajcem Białym z czterema wsiami Leśnicą, Białką, Bukowiną i Brzegami należał od niepamiętnych czasów do Polski; że był to kawał ziemi nadanej pierwotnie wsi Waksmundowi, a na nim powstały potem wymienione osady. Wówczas też nieuprawne i niezamieszkałe doliny w samych Tatrach musiały, należąc do tych osad, wchodzić w obręb Polski, a granica nasza szła „Polskimi Grzebieniami“, których było więcej, nie jeden, znany jeszcze dzisiaj powszechnie.

O wsi Waksmundzie dochowały się pierwsze wiadomości w dokumencie z roku 1334, zaś z r. 1434 posiadamy dokładny opis granic posiadłości tej wsi, które sięgały od gór Gorzec (koło Nowego-Targu) aż po grzbiet Tatr — *usque ad summitatem montium Tatry* — do szczytów Tatr. W czasie lustracyi starostwa nowotarskiego, przedsięwziętej w roku 1660 stwierdzono, że wieś Bukowina przypisana jest do Waksmundu, a wieś Brzegi „na tychże łanach zasiadła co i Waksmund“. W wizytacyi dyecezyi krakowskiej w roku 1595 zapisano wieś Leśnicę, że należy do tej dyecezyi. Wszystkie cztery wymienione wsi objął również w roku 1654 Mikołaj Komorowski, otrzymując starostwo nowotarskie.

Około roku 1624 Węgrzy roszczą sobie prawo do tego terytoryum, ale jak sami przyznają, wyrzucił ich stamtąd Komorowski. Jeżeli zaś chodzi o wcześniejsze posiadanie, to mają je za sobą Polacy; gdyby nawet chwilowo mogli Węgrzy zająć owo terytoryum, niczego to nie dowodzi. Wszakżeż obecnie także twierdzą Węgrzy, że posiadają faktycznie obszar sporny, wysyłają tam żandarmów, wydają wyroki odnoszące się do tego obszaru, a przecież równocześnie obraduje sąd rozjemczy międzynarodowy. Gdyby przypadkowo zaginęły dzisiejsze akta, po wiekach twierdziliby także Węgrzy, że w roku 1902 obszar sporny nad Morskiem Okiem do nich należał. Jeżeli przy sporze o własność wykaże jedna strona, że miała przedmiot wcześniej w posiadaniu, przemawia to na jej korzyść. Tak też jest i z Morskiem Okiem, które należało zawsze do wymienionych wsi, bo terytoryalnie stanowiła cała dolina Białej Wody i Morskiego Oka nierozerwalną całość z osadami. Posiadanie obszaru tego przez Polskę jest udowodnione dokumentami, a najwcześniejsze dokumenta należą do nas i tylko na ich podstawie można rozjaśnić sprawę.

Kontrakt kupna dóbr niedzickich z rąk Łaskiego przez Palocsaya z roku 1589 popiera tylko to, co my również wiemy, że wówczas Łaski i Palocsay robili wielkie nadużycia, zajeżdżali granice Polski, na co skarżył się niejednokrotnie Zygmunt III w listach do cesarza. Zajazdy Łaskiego i Palocsaya obejmowały wsi, położone na obszarze pierwotnym Waksmundu, a ponieważ razem z temi wsiami wymieniano wówczas także Morskie Oko, więc tem silniej popierają owe, rzekomo korzystne dla Węgier, dokumenty nasze prawa do Morskiego Oka i obszaru spornego.

Następnie prof. **Balzer** omawiał okres od r. 1769—1772, w którym to czasie terytoryum sporne było w posiadaniu Węgier. Zastanawiał się nad mapami, rysowanemi przez Seegera i porucznika Toeroeka i podniósł sprzeczności, które się w nich znajdują. Oświadczył, że kanclerz Maryi Teresy hr. Kaunitz zakazał wysuwać orła cesarskiego w głąb polskiego terytoryum i pociągnął następnie Toeroeka do odpowiedzialności za naruszenie subordynacyi.

Od r. 1773 do 1824 terytoryum sporne należało do kamery galicyjskiej, ponieważ w r. 1773 umarł starosta, który terytoryum to miał w dożywocie. Prof. Balzer przedstawia dokument starostwa, który stwierdza, że zbójców z Tatr, którzy się zapędzili do komitatu spiskiego, aresztowała tam żandarmerya. Wypuściła ich potem, bo — jak twierdziła — pomyliła się co do tego, że właściwie nie przeszli oni granicy, bo granica polsko-węgierska jest „sucha“.

Najbardziej jednak pognębił prof. Balzer Węgrów omówieniem dokumentu, który obrońca Bölcs przytoczył dopiero w ostatniej chwili, ażeby nieprzygotowanych nań Polaków zupełnie zbić z tropu. Jest to mianowicie zaproszenie, wystosowane w r. 1823 przez Stadnickiego, prezesa stanów krajowych, do wiceżupana Almassyego, aby wysłał deputacyę na powitanie arcyksięcia Franciszka. Z tego dokumentu wynika — jak twierdzą Węgry — że Stadnicki był przekonany, iż Morskie Oko należy do Węgier. Owoż prof. Balzer odczytał łaciński tekst tego dokumentu i wykazał, że p. Bölcs poprostu źle go tłómaczył, tak, że wygląda to na kpiny, a nie na poważny argument. Wyraz *censcendo* (mniemając) odniósł p. Bölcs do Stadnickiego, podczas gdy według gramatyki może się tylko odnosić w owem zdaniu do Almassyego, t. zn., że nie Stadnicki mniemał, iż Morskie Oko należy do Węgier, lecz że Almassy mniemał, i dlatego Stadnicki go zaprasza.

Węgrzy byli skonfudowani, a gdy prof. Balzer chciał dalej jeszcze tę rzecz omawiać, superarbiter Winkler oświadczył, że sąd rozjemczy już co do tego punktu dalszych wyjaśnień nie potrzebuje.

Na tem w sobotę posiedzenie przerwano do niedzieli godz 2 popołudniu. W niedzielę mówił prof. Balzer jeszcze przez dwie godziny. Omawiał spór graniczny między p. Homolaczową, a spadkobiercami Palocsaya w latach ośmdziesiątych. Wyrok, który zapadł w tym sporze prywatnym na korzyść Węgrów, nie może dotyczyć granic państwa. Na końcu swego przemówienia złożył prof. Balzer imieniem austryackiej strony spornej i Galicyi oświadczenie, że ponieważ rząd węgierski podtrzymuje swoje żądania do obszaru między Lechicą a Białką, pomimo wykazania, że żądania te są bezpodstawne, austryacka strona sporna i Galicya nie zrzekają się swej pretensyi do obszaru między Żabim Garbem a Białą Wodą, aż do Polskiego Grzebienia i żądają przyłączenia go do Galicyi.

Przewodniczący dr. **Winkler** oświadczył, iż Węgrzy nie podtrzymują dalej swego wniosku, uczynionego w tej mierze na wstępie rozprawy, wobec czego prof. Balzer zmienia swe oświadczenie w tym kierunku, że austryacka strona sporna i Galicya, żądają przyznania pięciu parcel nad Morskiem Okiem. Na tem prof. Balzer przemówienie swe zakończył.

Z kolei przewodniczący dr. **Winkler** oświadczył, że druga część czynności rozprawy, t. j. obrona interesów obu stron, dobiegła do końca. Ponieważ sąd rozjemczy zrzekł się przesłuchania świadków, gdyż wystarczą mu dowody na podstawie dokumentów, nagromadzonych licznie, pozostaje przeto tylko dokonanie wizyi lokalnej. Do czynności tej zaprosił sąd profesora politechniki w Zurychu Ferdynanda Beckera jako rzeczoznawcę do poczynienia pomiarów. Według statutu, po dokonaniu wizyi lokalnej, sąd zbierze się na końcowe obrady, na których zastępcy obu krajów wygłoszą swe plaidoyer, przyczem publiczność będzie przypuszczoną do przysłuchiwania się rozprawie. Podczas obrad sędziów i wydania wyroku jawność będzie wykluczona. W końcu podniósł dr. Winkler, iż termin końcowej rozprawy, która prawdopodobnie odbędzie się w Gracu, poda przez dzienniki do wiadomości.

O godzinie ½5-tej zamknął przewodniczący posiedzenie.

W poniedziałek odbędzie się narada trybunału w obecności profesora Beckera, następnie wyjedzie trybunał do Wiednia, gdzie przenocuje. We wtorek rano nastąpi odjazd do Krakowa, gdzie starosta Fedorowicz wyda obiad dla członków trybunału. We środę rano odjazd do Zakopanego. Zaproszeń prywatnych ze strony Hohenlohego i Zamoyskiego trybunał nie przyjął.

We środę stanie sąd w Zakopanem, przez czwartek, piątek i sobotę zabawi u Morskiego Oka, gdzie przepędzi dwie noce, a potem napowrót zjedzie dla dokończenia rozprawy do Gracu.

KRONIKA.

Lwów 1 września.

Pogrzeb śp. Zofii Cichockiej-Pieniążkowej odbył się w sobotę. Za trumną postępowała rodzina, wszyscy artyści i artystki teatru lwowskiego z dyrektorem p. Pawlikowskim, oraz liczna publiczność. Na cmentarzu nad otwartą mogiłą w serdecznych słowach pożegnał zmarłą artystkę p. Władysław Woleński imieniem kolegów i koleżanek. Przy wyprowadzeniu zwłok z domu i nad mogiłą odśpiewał chór teatralny pieśni żałobne. Na trumnie złożono wiele wieńców.

Policya konna we Lwowie. Z dniem 1-go października b. r. pojawią się na ulicach Lwowa konni policyanci. Będzie ich 30 pod komendą jednego porucznika. Koszary ich znajdować się będą przy ul. Czarnieckiegow budynku t. zw. Strażnicy ogniowej, a ujeżdżalnia przy koszarach ułańskich za Łyczakowską rogatką. Do konnej policyi przeznaczono 30 dotychczasowych policyantów pieszych, którzy przed wstąpieniem do służby policyjnej pełnili powinność wojskową przy kawaleryi, a na ich miejsce zwerbowano do pieszej policyi nowych ludzi. Kwestyi umundurowania policyi konnej jeszcze nie rozstrzygnięto.

Uroczystość wioślarska w Krakowie. Wczoraj odbyło się uroczyste otwarcie nowej przystani oddziału wioślarskiego „Sokoła" krakowskiego przy uczestnictwie wioślarzy z Królestwa i Warszawy. Po nabożeństwie, odprawionem w kościele na Skałce, udano się do przystani, gdzie po odprawieniu modłów, przemówił przeor OO. Paulinów x. Ambroży Fedorowicz. Po południu odbyły się wyścigi wioślarskie. Meta wynosiła 2000 metrów. W pierwszym wyścigu łodzi czterowiosłowych wzięli udział wioślarze kaliscy i krakowscy. Zwyciężyli wioślarze krakowscy, stanąwszy u mety w 15½ minutach, kaliscy przybyli w 18 minutach. W drugim i trzecim wyścigu brali udział tylko wioślarze krakowscy. W czwartym wyścigu stanęli do zawodów w łodziach czterowiosłowych wioślarze warszawscy i krakowscy. Zwyciężyli warszawscy, przybywszy do mety w 11 min. 54½ sek, krakowscy przybyli w 12 minutach 20 sek. W piątym wyścigu brali udział wioślarze krakowscy. Do wyścigu szóstego, do tak zwanej rozgrywki, stanęli pobici w wyścigu pierwszym wioślarze kaliscy i pobici w wyścigu czwartym wioślarze krakowscy. Zwyciężyli wioślarze krakowscy, przybyli oni do mety w 15 m. 45 sek. Wioślarze kaliscy przybyli o 10 sekund później. Publiczność, która tłumnie zebrała się po obu brzegach Wisły, gorąco oklaskiwała ścigających się wioślarzy. Wieczorem odbyła się wieczornica w „Sokole", podczas której rozdano medale i nagrody honorowe. Wioślarze warszawscy otrzymali pięć medali złotych i jedną nagrodę honorową.

Konkurs ogłasza Wydział krajowy na posadę sekundaryusza w szpitalu powszechnym w Przemyślu. Podania do 1 października br.

Pożar zniszczył w zeszłym tygodniu we wsi Strupkowie pod Ottynią 10 zagród włościańskich.

Krakowskie Towarzystwo techniczne będzie 7 i 8 września b. r. obchodziło 25-letni jubileusz swojego istnienia. Lwowskie Towarzystwo zaprasza swoich członków do udziału w tej uroczystości, a więc do wycieczki do Krakowa, która będzie kosztowała od osoby 20 K.

Wykolejenie się pociągu. W nocy z soboty na niedzielę koło godziny 3-ciej rano wykoleił się pośpieszny pociąg towarowy na kilometrze 20⁶/₀ między stacyami Podłężem a Kłajem. Ze służby kolejowej nikt nie poniósł szwanku. Dwanaście wozów, w których znajdowały się woły, trzoda i jaja, zupełnie są zniszczone. Część wołów i trzody zabita, część pokaleczona. Wagon z jajami zupełnie rozbity. Z powodu zawalenia toru szczątkami rozbitych wagonów nastąpiło opóźnienie innych pociągów. Po natężającej pracy usunięto przeszkody, tak, że pociąg ekspresowy mógł już przejechać. Stwierdzono, że wypadek powstał wskutek tego, iż hamulec oderwał się, zaczepił o próg i wyrwał go, czem spowodował wykolejenie.

Zamach dynamitowy w Styryi. W sobotę na stacyi Selzthal dokonano zamachu za pomocą bomby dynamitowej na znanego właściciela kopalń węgla, radzcę górniczego Maksymiliana Gutmana. W sobotę po południu o godz. 2 m. 45 p. Gutman przybył pociągiem pośpiesznym do Selzthal, aby udać się do położonego w pobliżu zamku myśliwskiego w Strechau. Na dworcu oczekiwał na niego starszy leśniczy w dobrach jego, p. Sobodka. Po przywitaniu się przeszedł p. Gutman przez budynek stacyjny, aby wsiąść do czekającego na niego przed stacyą powozu. Obok niego szedł p. Sobodka. Gdy obaj zbliżyli się do powozu, szybko przystąpił do nich jakiś człowiek i rzucił przed p. Gutmanna bombę. Bomba eksplodowała z ogromnym hukiem; detonacya była tak silna, iż w budynku stacyjnym powypadały wszystkie szyby z okien. Szczęśliwym wypadkiem p. Gutmann został tylko lekko raniony, natomiast ciężkie rany odniósł p. Sobodka. Zbrodniarza, który rzucił bombę, spotkał los, jaki on przygotowywał swojej ofierze. Poszarpany przez bombę w kawały, zginął na miejscu. Ciężko ranionemu leśniczemu pospieszono natychmiast z pomocą; po prowizorycznem zaopatrzeniu ran przewieziono go do szpitala w Rettenmann.

Bomba, rzucona na p. Gutmanna, widocznie upadła za blisko zbrodniarza, gdyż rozerwała go w kawały. Oderwała mu prawą nogę i rękę, a z piersi wydarła płuca i serce. Głowa pozostała prawie nietknięta. P. Gutmann został małym szczątkiem bomby raniony lekko w kark. Panu Sobodce bomba urwała prawą nogę i zraniła go ciężko w plecy. Stan jego jest beznadziejny.

Przed stacyą, zwabione hukiem wybuchu, zebrały się natychmiast tłumy publiczności. Z przerażeniem otaczały one porwane na kawałki zwłoki zbrodniarza, a kilka osób poznało w nim człowieka, który od kilku dni mieszkał w Selzthal w hotelu Pfondlera i co dnia wychodził na dworzec do każdego pociągu, nadchodzącego z Wiednia; wyglądało to tak, jakby kogoś oczekiwał. Widocznie już od kilku dni przygotowywał on zbrodniczy zamach.

Na miejsce zbrodni przybyła komisya sądowa z Rottenmann. W pokoju hotelu Pfondlera, gdzie zbrodniarz mieszkał, przeprowadzono rewizyę i znaleziono w kufrze drugą taką samą bombę. Dalsze dochodzenia wykazały, iż zbrodniarz nazywa się Hugo Scholz, był inżynierem cywilnym i miał przez pewien czas zajęcie u p Gutmanna. Motywem zbrodni ma być zemsta osobista.

Ruina posągu. Od wielkiego posągu św. Floryana, stojącego na frontonie kościoła św. Floryana w Krakowie, oderwał się onegdaj duży skopiec, który trzyma w ręku św. Floryan. Spadając, zdruzgotał głowę figury anioła, umieszczonego poniżej i roztrzaskał się na podwórku kościoła. Cała figura zniszczona grozi runięciem. Spadająca część posągu nikogo z ludzi nie skaleczyła.

Szykany nauczycieli pruskich. Prześladowanie dzieci polskich przez pedagogów pruskich nie ustaje. Kilka dni temu chodziły dziewczątka po podwórzu szkoły miejskiej dla dziewcząt w Jeżycach, pod Poznaniem, i szeptały coś po polsku. Córeczka majstra rzeźnickiego, Bulczyńskiego, która dopiero drugi rok uczęszcza do szkoły, głośno wykrzyknęła kilka słów polskich. W tejże chwili podszedł do niej nauczyciel Krzemieniewski, uderzył ją dwakroć w twarz i popchnął. Dziecko się potoczyło i upadło tak nieszczęśliwie, iż złamało sobie nogę powyżej kostki. Nieszczęśliwe dziecko odstawiono do domu. Ojciec jego przywołał lekarza, dra Sowińskiego, który stwierdził złamanie nogi. Nauczyciel Krzemieniewski, mimo nazwiska polskiego, jest Niemcem. Ojciec poszwankowanej zamierza dochodzić krzywdy przed sądem. W Jeżycach z powodu tego zajścia panuje wielkie oburzenie. Pisma niemieckie w Poznaniu, zazwyczaj skwapliwe w notowaniu wypadków w mieście, tendencyjnie przemilczały to zajście.

Wystawa prac Gierymskiego. Otwarto w Warszawie wystawę dzieł artysty-malarza śp. Aleksandra Gierymskiego. Dochód z wystawy przeznaczony jest na kupno gruntu na cmentarzu i na budowę grobowca dla artysty, którego zwłoki spoczywają w Rzymie.

Na wiecu katolików niemieckich w Mannheimie przewodniczący dr. Cardauns, naczelny redaktor życzliwej nam *Kölnische Volksztg.*, kreśląc ogólny obraz ruchu katolickiego w roku ubiegłym, poruszył także sprawę nauki religii w języku ojczystym i wspominając o śmierci ś. p. X. kardynała Ledóchowskiego, wypowiedział następujące słowa: „Wobec świeżej mogiły tego męża, nie mogę odmówić sobie poruszenia tej sprawy religijno-politycznej, która obecnie rozgorycza w najwyższym stopniu umysły w dzielnicach wschodnich państwa. Nie mojem zadaniem badać, czy wina tych zatargów leży po jednej lub drugiej, czy po obu stronach. Nie chcę wogóle omawiać sprawy ze stanowiska politycznego, ale sądzę, że mogę powiedzieć w imieniu tysięcy zebranych tu katolików: Jako Niemcy katolicy, którzy nie są gorszymi Niemcami od innych, zakładamy protest przeciw środkom, które sprzeciwiają się prawom przyrodzonym języka ojczystego i wkraczają nawet w dziedzinę wychowania religijnego. Być może, iż po za kongresem wezmą mi za złe te słowa. Ale o naszą sprawę idzie. A wreszcie: co dziś tobie, to jutro mnie. Oby nareszcie i w Poznańskiem zastosowano tę trafną metodę, która w ostatnich latach wydała dla niemczyzny w Wogezach tak świetne owoce":

Za życzliwość serdeczne dzięki p. Cardaunsowi, ale życzenie jego nigdy się nie spełni, bo Wielkopolanie nigdy się nie zniemczą, jak to uczyniło wielu Francuzów w Alzacyi i Lotaryngii.

Dla oceny stanowiska centrum wobec nas nie jest rzeczą obojętną, że najprzychylniejszy dla nas mąż stronnictwa katolickiego w Niemczech uważa asymilacyą Polaków za cel godny pożądania. Ogromna większość tego stronnictwa zapatruje się tak samo na powolną i łagodną germanizacyę ludności polskiej, jak dr. Cardauns.

Muzeum polskie w Cieszynie, założone w r. 1896, otrzymało w darze od p. Adama Prusinowskiego, adwokata przysięgłego w Żytomierzu na Wołyniu, bardzo cenny zbiór medali i monet w liczbie 180. Najstarsze z nich pochodzą z XVI wieku.

Znowu agitacya strejkowa. Z tłumackiego donoszą jednemu z lwowskich pism, że w tamtejszym powiecie pojawił się niejaki Humeniuk, Rusin, słuchacz filozofii na uniwersytecie wiedeńskim, i agituje wśród włościan za strejkiem. Odczyty jego, wygłaszane w tonie skrajnie radykalnym, sprawiły, że chłopi chodzą za nim całemi gromadami i grożą strejkiem na jesień w czasie zbioru kartofli i buraków, których uprawa jest w tłumackiem bardzo rozwinięta.

Międzynarodowa wystawa koni odbędzie się, jak corocznie, w Moskwie od 11 do 17 października nowego stylu. Zgłoszenia przyjmuje do dnia 14 września komitet wystawy (Moskwa, Smoleński bulwar 55). Wszystkie wystawione konie będą po zamknięciu wystawy sprzedane przez licytacye. Prócz tego d. 4 grudnia otwartą będzie specyalna wystawa dla koni powozowych, która potrwa 3 dni.

Lekarek jest teraz na całej kuli ziemskiej około 8.000. Z liczby tej przypada na samą Amerykę przeszło 6.000, reszta zaś na Europę, w której najwięcej lekarek, bo około 700 posiada Rosya. Nawet w Szkocyi panią Jane Boyes mianował rząd lekarką na wyspie Coll, co jest pierwszą tego rodzaju nominacyą w Anglii.

Na cel dobroczynny. Żona jednego z parów, lady Raglan, pragnąc swą toaletą koronacyjną przyczynić się do złagodzenia ludzkiej niedoli, wystąpiła w pełnym stroju, z brylantami, w koronie i pokazywała się — za pieniądze w szpitalu Beckenham na rzecz jego pensyonarzy. Przybyło przeszło tysiąc osób, jej znajomych, wezwanych zaproszeniami, a dwa razy tyle stawiło się ciekawych, skutkiem ogłoszeń, rozlepionych na ulicach. Jej mąż i siostry sprzedawały u wejścia bilety po gwinei, oraz fotografie i drobne pamiątki. Plon był obfity.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 11, w poł. + 16 R. Bar. 770. Podnosi się. Pogodnie.

Ofiary. Na odbudowę spalonej części wieży klasztoru w Częstochowie nadesłała p. Teodozia L. z prośbą o błogosławieństwo N. P. Maryi 5 koron.

Z filozofii kupieckiej.

Pytał biedak bogacza:
Na co kredyt zda się;
Ten milczał, lecz gdy biedak
Ciągle naprzykrza się,
Odrzekł, by z odpowiedzi
Rychlej się skwitować:
— Żeby raz chociaż w życiu
Mądrze... zbankrutować.

Między siostrami.

— Pytał się mój narzeczony, ile mam lat?
— Cóżeś mu powiedziała?
— Dwadzieścia jeden.
— Ty niemądra! Dwadzieścia jeden kończysz pojutrze — więc wczoraj miałaś dopiero dwudziesty pierwszy!

Myśli.

Niejeden nietyle dba o to, żeby mieć o danej rzeczy sąd słuszny, ale dziwaczny.

Naganę człowiek grzeczny wyraża — milczeniem.

Zapał — to wieczna młodość.

Często bywa, że odnosimy większą korzyść ze straty, niż z zysku.

Chiny to kraj, gdzie setki milionów ludzi żywych są teroryzowane i rządzone przez miliardy nieboszczyków.

Chmury mogą zasłonić gwiazdę, ale chmury mijają, a gwiazda zostaje.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś po raz 1szy „Wdowa z Malabaru" operetka w 3 akt. Hervé'go. — We wtorek (wznowienie) „Rozbitki" kom. w 4 aktach Józefa Blizińskiego. Trzeci występ Romana Żelazowskiego. — We środę po raz 2gi „Wdowa z Malabaru". — We czwartek (wznowienie) „Pietro Carusso" dramat w 1 akcie Roberta Bracco, przekład J. Kasprowicza, występ R. Żelazowskiego w roli tytułowej; „Maski" dramat w 1 akcie Roberta Bracco, przekład J. Kasprowicza, występ R. Żelazowskiego i „Majster i czeladnik" kom. w 2 aktach J. Korzeniowskiego, debiut Huberta Brzozowskiego, artysty teatru ludowego w Warszawie. — W piątek po raz 3ci „Wdowa z Malabaru".

Literatura i sztuka.

Muzyka swojska w Warszawie. Warszawa dnia 26 sierpnia 1902 r. W stolicy naszej wzniesiono dla sztuki tonów przybytek, do którego nie dorosła pewna część krytyków, mierząca sympatyami osobistemi społeczne i artystyczne znaczenie instytucyi w wielkim stylu.

Bo Filharmonia warszawska jest bez zaprzeczenia instytucyą w wielkim stylu! Pomijając olbrzymie rozmiary wspaniałego gmachu, uchodzącego słusznie za jeden z najcelniejszych tego rodzaju w Europie, pomijając udział solistów, zaliczających się do „gwiazd" pierwszorzędnych, pomijając trwałą zasługę złożenia stałej orkiestry z 72 osób (w której to liczbie 65% znajdzie się Polaków) — w pierwszym sezonie swoim (od listopada 1901 do 30 kwietnia 1902) Filharmonia warszawska wystawiła i powtórzyła utworów polskich 126.

Oto porządek cyfrowy powtórzeń utworów swojskich:

Moniuszko 70 razy, Chopin 60, Noskowski 25, Żeleński 23, Paderewski 16, Wieniawski (H.) 9, Münchheimer 8, Maszyński 8, Grossman 7, Dobrzyński (J.) 6, Stojowski 6, Kronenberg 5, Lewandowski 5, Młynarski 5, Niewiadomski 3, Opieński 3, Karłowicz 3, Statkowski 2, Gall 2, Fitelberg 2, Kozłowski 2, Namysłowski 2, Jotejko 2, Pachulski 2, Starczewski 1, Śmigielski 1, Kotarbiński (M.) 1, Maleszewski (W.) 1, Lubomirski (K.) 1, Dłuski 1, Sokołowski 1.

Z większych utworów symfonicznych Filharmonia wykonywała bądź na wielkich koncertach piątkowych, bądź na wieczorach wtorkowych, bądź też na koncertach popularnych symfonie: Stojowskiego, Dobrzyńskiego i Maleszewskiego; poematy i suity: Noskowskiego, Moniuszki, Zeleńskiego, Zarzyckiego — kompozytorzy zaś żyjący dyrygowali sami swojemi utworami.

Oprócz zatem „grzechu" zapoznawania szerokich mas publiczności z arcydziełami muzyki Zachodu, Filharmonia wydobywała na wierzch zapomniane utwory polskie wczorajszej doby i przytulała wszystkie młode siły, dając im upragniony występ, honorując sowicie nowe dzieła i szybko, o ile można, wystawiając je na estradzie.

Koncerty popularne odciągnęły niejednego od podejrzanych rozrywek, inne uszlachetniały ducha, a Filharmonia odegrawszy wybitną rolę w życiu intelektualnem Warszawy, w pierwszym zaraz sezonie zapełniła lukę pośród instytucyi ogromnego miasta, uczuwającego od dawna potrzebę wielkiego, muzyce wyłącznie poświęconego przybytku.

W końcu wykaz artystów-Polaków, występujących w ubiegłym sezonie Filharmonii:

Fortepian: Ignacy Paderewski, Marya Badowska-Wąsowska, Katarzyna Jaczynowska, Aleksander Michałowski, Zygmunt Stojowski i Juliusz Wertheim.

Skrzypce: Stanisław Barcewicz, Władysław Górski, Paweł Kochański i Józef Oziminski.

Śpiew: Aleksander Bandrowski, Aleksander Myszuga, Władysława Chotkowska, Irena Bohusówna, Adam Didur, Michalina Frenkielówna, Janina Korolewiczówna, Salomea Kruszelnicka, Marya Merklowa, Józefina Szlezygierówna i Stanisław Sienkiewicz.

Organ: Jan Rangel-Śmigielski.

Chóry: „Lutni" warszawskiej, „Lutni" łódzkiej, kościołów Przemienienia Pańskiego, św. Antoniego, opery i konserwatoryum warszawskiego.

Tak wyglądają w cyfrach usiłowania nadania charakteru swojskiego Filharmonii warszawskiej.

W. K.

* **Teatr.** Na występy przyjechał z Warszawy p. Żelazowski. Więc w gęsty rój operetek nagle wpadły jak bomby dwie tragedye dużego kalibru: „Otello" i „Zbójcy". Przerażona tą niespodzianką publiczność pozostała w domu. Zresztą, z powodu niedzieli więcej jej było w teatrze na „Zbójcach", niż na sobotnim „Otellu". Takie tragedye nie są ani dla dzisiejszych aktorów, ani dla dzisiejszej publiczności. Naturalizm na scenie przyzwyczaił aktorów do drobiazgowego naśladowania ruchów i sposobu mówienia ludzi, napotykanych w codziennem życiu, jakże mogą więc oni złączyć z tem wybujały, pełen przenośni i myśli styl tragedyi Szekspirowskiej. Gdzie wszystko przykrojone jest na bezwzględną prawdziwość każdego gestu i ruchu, słowa Otella muszą wyglądać na nieznośną, nieprawdopodobną i przewlekłą tyradę. Nadto jest w Otellu taka dzikość i taki żar iście afrykański, że porównany z naszymi powszednimi stosunkami, wydać się musi waryatem. Aktor nowoczesny oczywiście chce ten szkopuł ominąć przez łagodzenie zbytnich jaskrawości, ale wówczas efekt zupełnie słabnie. Otella grać trzeba, jak go grał murzyn Ire Oldridge, ale i wówczas działa tylko sama siła namiętności, a nie poetyczność słów i myśli Szekspirowskich, która w ogóle bardziej występuje w lekturze niż ze sceny.

Co do „Zbójców", to jest to utwór najbardziej może niedowarzony ze wszystkich wielkich i sławnych utworów dramatycznych literatury powszechnej. Ma on swe wybitne znaczenie w literaturze niemieckiej, oraz daje charakterystykę nastroju przedrewolucyjnego. U nas jednak grają tę tragedyę tylko dlatego, że aktorzy szukają w niej ról popisowych. Ale są to role popisowe również w znaczeniu dawnej sztuki aktorskiej, dziś już zarzuconej i to jeszcze bardziej niż role Szekspirowskie, gdyż grzeszą rażącem nieprawdopodobieństwem psychologicznem, czego niema w Szekspirze. Nie dziw, że p. Żelazowski nie cieszył się na tych wieczorach takim sukcesem, jakiby mógłby zdobywać w rolach bardziej jego naturze, jako nowoczesnego aktora, odpowiednich.

Sport.

W Baden-Baden, jak w roku zeszłym, francuskie konie biją elitę niemieckich koni, w śmiesznie łatwy sposób. Pruska zarozumiałość, którą się całe Niemcy zaraziły, bierze nielada cięgi. Jako faworyt poszedł do startu niemiecki dwulatek „Signor". Niemcy grube pieniądze na nim przegrali, gdyż na głowę pobity został przez francuskie konie w „Zukunfts-Rennen", 24.000 koron, 1200 metrów. Zwyciężył on wprawdzie wszystkie inne niemieckie dwulatki, lecz na głowę został równocześnie pobity przez dwa francuskie drugiej klasy konie, przez „Mireille" pana Caillaulta, która wygrała ten bieg silnie wstrzymywana przeciw „Essling" pana Ephrussi, za którym aż siedm długości z tyłu dobił do mety „Signor" br. Oppenheima, uważany w Niemczech za fenomen. Wiedeńskie gazety sportowe słusznie wyśmiewają ogłaszane fenomenalne rekordy szybkości koni niemieckich, które okazują się fałszywe. Nagrodę Badenu 20.000 koron wygrał koń angielski „Over Norton", a w Wielkiej nagrodzie Badeńskiej o 80.000 koron i złoty puhar pierwsze trzy do mety przybyły: „Le Camergo" koń francuski, „Over Norton" koń angielski i „Codoman" znów koń francuski. Niemcom pozostaje jeszcze nadzieja wygrania Wielkiego Badeńskiego Steeple-chase. W sferach jednak nieuprzedzonych jest przekonanie, że bieg ten rozegra się między francuskiemi steeplerami „Gratin" i „Karapatte". *F.*

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Pekin 1 września. Pojawił się edykt cesarski zarządzający zniesienie stacyi likinu (celnych). Zniesienie to uzasadniono tem, iż przy układzie w sprawie nowych traktatów handlowych z państwami podwyższono cła importowe i eksportowe, wskutek czego okazały się zbyteczne cła „likin".

Tientsin 1 września. Koła wojskowe utrzymują, że wojska europejskie z wyjątkiem straży dla poselstw odjadą z wiosną z Chin, jeśli nie zajdą jakie niespodziewane wydarzenia.

Ischl 1 września. Cesarz odjechał do Poli.

Król włoski w Berlinie.

Berlin 1 września. Onegdaj odbyła się wielka rewia jesienna korpusu gwardyi. Przybyli na nią cesarz Wilhelm, cesarzowa i król włoski. Cesarz, ubrany w mundur gwardyi, sam poprowadził ten pułk poprzed króla włoskiego, podczas gdy muzyka gwardyi grała marsz włoski. Następnie obaj monarchowie na czele pułków wrócili do zamku.

Poczdam 1 września. Wczoraj o godz. 9 rano cesarz niemiecki i król włoski udali się z Nowego pałacu na dworzec, gdzie już czekali ks. Eitel-Fryderyk i hr. Buelow. Obaj monarchowie pożegnali się bardzo serdecznie i ucałowali kilka razy.

Berlin 1 września. Burmistrz rzymski wystosował do burmistrza Berlina Kirschnera telegram w języku włoskim, w którym dziękuje w imieniu miasta Rzymu za przyjęcie, jakiego doznał król włoski w Berlinie. Nazwano w tej depeszy cesarza Wilhelma człowiekiem równie wybitnym w nauce, sztuce i wojskowości, a ludność berlińską równie miłą w obejściu, jak silną. Telegram kończy się wyrażeniem życzenia, aby oba narody zawsze wspólnie kroczyły na czele narodów kulturalnych.

Kirschner odpowiedział następującą depeszą: Obywatele Berlina ożywieni są tą samą nadzieją co do stanowiska Włoch i Niemiec wiernie ze sobą sprzymierzonych, oraz ich dostojnych władzców, jak mieszkańcy wiecznego miasta. Berlinczycy byli szczęśliwi, że mogli uroczyście powitać w swych murach króla Włoch w dniu urodzin niemieckiego księcia myśli Goethego, którego pomnik, jako dar cesarza niemieckiego, wkrótce zdobić będzie Rzym.

(Depesze popołudniowe).

Zagrzeb 1 września. Z powodu artykułów nieprzyjaznych dla Kroatów, jakie zamieścił tutejszy dziennik *Srbobran*, przyszło wczoraj w południe do wielkiej demonstracyi przed budynkiem serbskiej gminy i redakcyą owego dziennika. Wybito wszystkie szyby, jednego z redaktorów znieważono. Wiele osób policya aresztowała.

Florencya 1 września. Część służby tramwajowej przyłączyła się do strejku. Kursuje tylko mała liczba wagonów pod ochroną policyi i karabinierów. W mieście panuje spokój; po ulicach przeciągają patrole wojskowe. Część wojska, która była na manewrach, powróciła do miasta.

W strejku biorą udział robotnicy 42 zawodów. Rokowania, mające na celu zażegnanie strejku, prowadzone są w fabryce metalurgicznej Piglione, której robotnicy zażądali strejku generalnego. Większość robotników nie jest za strejkiem generalnym, przeważa bowiem zapatrywanie, że drobne różnice między robotnikami a fabrykantami o jakie idzie obecnie nie wymagają tak gwałtownego środka. Sądzą, że strejk zakończy się za dwa dni.

Łódź 1 września. Na polowaniu koło Zgierza zastrzelił przez nieostrożność p. Stanisław Bötticher swego rodzonego brata Władysława.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 1 września. J. Timoftiewicz z Krakowa. M. Szyrajew z Nowego Sącza. W. Długosz z Borysławia. J. Anlaender z Czerniowiec. M. Ginsel z Felsztyna. J. Skrzyński z Warszawy. J. Jezierski z Rozwadowa. R. Schechtel z Tarnopola. J. Micewska z Tuczemp. H. Karczewski z Moraniec. S. Wybranowski z Kimicza. S. Małachowski z Podola rosyjskiego. W. Płotnicki z Podola rosyjskiego. A. Diginth z Rosyi. L. Marcińczyk z Kijowa. J. Rylska z Uhrynowa. K. Drössler z Nowego Iczyna. P. Selker z Wiednia.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 1 września. A. Barberows z Krakowa. L. Dunin z Borysławia. K. Udrycki z Mostów wielkich. M. br. Enis z Drohowyża. J. Mroziuk z Bełza. J. Notkin z Kijowa. F. Myszkowski z Tarnobrzega. R. Redlich z Brzeżan. O. br. Gayer z Brzeżan. J. Silbiger z Berlina. J. hr. Mniszech z Wiednia. M. Wierzchleyska z Kabarowiec. W. Wobrowie z Rzeszowa. M. Szades z Kijowa. T. Petzolt z Trembowli. F. Bahrymowicz z Czerniowiec. J. Skrzydlecki z Paryża. T. Romoccy z Ujazdowa. J. Turczański z Budzanowa. K. Peszkowski z Żydaczowa. A. Krongold z Berna. F. Kopachowie z Wiednia. H. Madeyski z Łańcuta.

HOTEL EUROPEJSKI

Lwów — Plac Maryacki

ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 1 września. A. Fischer v. Walheim z Petersburga. S. Mynaski z Germakówki. K. Ciechanowski z Odessy. K. Dobrowolski z Borszczowa. B. Barber z Suczawy. J. Puchalski z Dworza. J. Rakowski z Hermanowic. J. Zieniewicz z Daszawy. B. Dewicz z Daszawy. H. Mierzyński z Dubowic. C. Malech z Wiednia. J. Gros ze Stanisławowa. H. Krzyżanowski z Lisek. M. Bogdańska z Władypola. B. Osuchowski z Turki. W. Gotleb Haszlakiewicz z Gańczar. M. Weiss z Czerniowiec. J. Stenzel z Wiednia.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30). Wiedeń 1 września.

Marki 117.05, renta majowa 101.80, węg. renta koronowa 97.90, Akcye: austr. zakł. kredyt. 687.00, węg. zak. kred. 737.00, anglobanku 278.—, unionbanku 540.—, bankvereinu 455.00, länderbanku 422.50, kolei państw. 717.50, lombardy 71.50, akcye kolei Elbethal 467.00, fabryki broni —.—, tytoniowe 000.00, alpiny 392·00, Rima Muranyi 503.—, pragskiego Tow. żel. —·—, losy tureckie 115.25, ruble 253·50. Usposobienie silne.

Wiedeń 1 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 6·91—6·92, na wiosnę 7·22—7·23; żyto na na jesień 6·26—6·27, na wiosnę 6·49—6·51; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·75—5·76, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·78—5·79, na wiosnę 6·03—6·05. Rzepak na sierpień-wrzesień 10·65—10·75. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: silna. Pogoda: ciepło.

Budapeszt 1 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 klg.). Pszenica na październik 6·63—6·64, na kwiecień 6·96—6·97; żyto na październik 5·93—5·94, na kwiecień 6·15—6·16; owies na październik 5·45—5·46, kwiecień 5·76—5·77; kukurudza na wrzesień 5·43—5·44, na maj 5·40—5·41. Rzepak: na wrzesień 00·00—00·00. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna ograniczona. Tendencya: spokojna. Pogoda: piękna.

Wiedeń 1 września. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880 3%	266.—
" " " " " 1889 3%	263.—
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k. 4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł. 5%	284.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł. 4%	254.—
Pożyczka serbska prem. po 100 fr. 2%	89.—
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.	117·75

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19.25, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 427.—, Clary 40 zł. m. k. 198.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.50, Losy m. Krakowa 20 zł. 75.00. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 74.—, Ofen 40 zł. 192.00, Palffy 40 zł. m. k. 190.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 54.70, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27·50, Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 75.—, Salma 40 zł. m. k. 235.00, Pożyczka salcburska 20 zł. 77.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 424.—.

Lwów 1 września. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 565.00 do 575.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 540.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 840.— do 860.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic 5 proc. los. w 50 lat, z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 100 70, 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.20 do 101.90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 97·20. 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·20 do 96.90.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99·00 do 99·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·80 do 103 00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97.00 do 97.70, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·00 do 94·70, 4½% po 200 koron 100·50 do 101.20.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·00 do 19·20. Rubel rosyjski papierowy 252.00 do 253.70. 100 marek niemieckich 117·— do 117·50.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31*, 1·35, 8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50.
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35,** 8·00, 5·35 10·20*; na Podzamcze: **2·20,** 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 8.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15*, 1·45,** 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45*, 8·30, 2·55,** 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 8·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55,** 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09,** 6·48, 9·20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51*, 2·40,** 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 3.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

13

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

— A z takich książek wychodzą potem rzeczy niesłychane...

— To prawda — przyznał pan Marvel i obejrzał się z trwogą.

— I w gazetach można wyczytać nadzwyczajności... — mówił marynarz.

— I to się trafia.

— Naprzykład w tym dzienniku... — rzekł majtek.

— Tak?... — zdziwił się pan Marvel.

— Jest tutaj jedna historya niebywała... — mówił marynarz, wpatrując się badawczo w swego interlokutora. — Opowiadają tutaj o jakimś Człowieku Niewidzialnym...

— Alboż to można wierzyć?... — wtrącił pan Marvel. — Gdzież to się stało? W Ameryce?...

— Nie, tutaj... — rzekł majtek z naciskiem.

— Jezu Chryste!... — krzyknął włóczęga.

— Jeżeli powiadam: tutaj — ciągnął dalej marynarz — to nie znaczy, żeby w Port-Stowe. Zdarzyło się to w okolicy.

Te słowa sprawiły widoczną ulgę panu Marvel.

— Człowiek Niewidzialny!... Cóż on zrobił?

— Okropności! — mówił majtek, przypatrując się towarzyszowi z pod oka. — Okropności, powiadam.

— Już od czterech dni nie czytam gazet... — rzekł pan Marvel.

— Pokazał się niedaleko stąd, w Iping... — ciągnął dalej majtek.

— Doprawdy?!... — dziwił się pan Marvel.

— Tam się pokazał, ale skąd przybył, niewiadomo. Ot, widzisz pan, tutaj właśnie piszą: „Dziwne zdarzenie w Iping". Podobno są dowody i to nie byle jakie.

— Boże! — krzyknął pan Marvel.

— Dziwna to historya. Że prawdziwa, świadczy o tem duchowny i lekarz: obaj widzieli go na własne oczy, to jest nie widzieli właśnie. Zamieszkał w oberży „Pod dyliżansem" i nikt się nie domyślał, jaki on jest, aż dopiero pobili go w szynku i bandaże mu z głowy pospadały. Wtedy wszyscy zobaczyli, że głowy nie widać. Zaraz chcieli go schwytać, ale on zrzucił ubranie — jak tutaj piszą — i umknął, ale wpierw borykał się ze wszystkimi i wiele osób poturbował, między innymi konstabla, pana Jaffers. Ładna historya? Co? Są nazwiska i wszystko.

— Boże wielki!... — zawołał pan Marvel, oglądając się niespokojnie i macając pieniądze w kieszeni. — To doprawdy dziwne!...

Przyszła mu nowa myśl.

— Dawniej nie słyszało się o niczem podobnem... — mówił majtek. — Świat zaczyna chodzić do góry nogami... Coraz gorzej! Coraz gorzej!...

— Cóż zrobił więcej?... — pytał pan Marvel.

— Jeszcze panu nie dosyć? — zawołał majtek.

— A czy nie wrócił? Może zniknął bez śladu? — pytał włóczęga.

— Umknął bez wieści... — przytwierdził marynarz.

— Czy nie miał broni przy sobie?... — badał pan Marvel z widocznym niepokojem.

— Nic o tem nie piszą, ale pewnie nie miał. Tego-by tylko brakowało!... Ciarki mnie przechodzą, jak sobie pomyślę, że on grasuje po okolicy. Piszą tutaj, że uciekł w stronę Port-Stowe. Pomyśleć, ile on może nabroić!... Kto mu przeszkodzi?... Może sobie spokojnie kraść, mordować, może przemknąć się przez cały kordon policyi tak łatwo, jak pan możesz uciec przed ślepcem. Łatwiej nawet, bo ślepcy, to sprytne chłopy, mają dobry węch! Co tu gadać! Taki może się nawet darmo upijać...

— To pewna, że nie byle kto potrafi sobie z nim poradzić... — przyznał pan Marvel.

Oglądał się co chwila, nasłuchiwał, łowiąc uchem każdy szelest. Widocznem było, że się namyśla, że jest na drodze do powzięcia ważnego postanowienia.

Obejrzał się raz jeszcze, nadstawił ucha, wreszcie nachylił się i szepnął:

— Ja coś wiem o tym Człowieku Niewidzialnym... Wiem z pewnego źródła...

— Doprawdy?... — zawołał majtek.

— Słowo najświętsze! — zaklął się pan Marvel.

— Czy możesz mi pan opowiedzieć?

— To są rzeczy straszne!... Posłuchaj pan.

Nagle pan Marvel zmienił się na twarzy.

— Ojej!... — krzyknął, zrywając się na równe nogi.

— Co panu jest? — pytał zaciekawiony majtek.

— Ząb mnie zabolał! — rzekł pan Marvel i przyłożył rękę do ucha, poczem wziął książki. — Trzeba ruszać dalej... — oświadczył.

— Miałeś mi pan właśnie opowiedzieć o tym Człowieku Niewidzialnym... — dopominał się marynarz.

Pan Marvel wahał się widocznie.

— To bajka!... — szepnął jakiś głos.

— To bajka... — powtórzył pan Marvel.

— Przecież „stoi" w gazecie!... — oburzył się majtek.

— Mało to kłamstw piszą?... — dowodził pan Marvel. — Wiem nawet, kto tę bajkę wymyślił i mogę pana upewnić, że takiego Człowieka Niewidzialnego nie było i niema.

— A jednak piszą o nim w gazecie...

— Powiadam panu, że kłamią.

Marynarz kiwał głową.

— Czemuż, u licha, mówiłeś pan przed chwilą, że to prawda i że możesz mi coś powiedzieć o tym Człowieku Niewidzialnym? To były kpiny? Co?... Ja nie pozwolę drwić z siebie!...

Pan Marvel skrzywił się okropnie, a potem skurczył się, jak gdyby go ktoś przygniatał.

— Nauczę ja pana szacunku dla porządnych ludzi! — krzyczał majtek. — Byle jaki oberwaniec będzie się ze mnie natrząsał! Patrzcie go! Jaki dowcipniś!...

— Proszę mi nie ubliżać! — wołał pan Marvel.

— Ja ci jeszcze lepiej ubliżę! — krzyknął majtek, grożąc pięścią.

— Chodź!... — szepnął znowu jakiś głos i w tejże chwili pan Marvel zerwał się z ławki, jak gdyby go podrzucono w górę i oddalił się krokiem przyśpieszonym.

— Chciałeś mnie na dudka wystrychnąć! — wołał marynarz, biegnąc za nim. — Ja ci pokażę, co to żarty ze mną... Uciekaj, uciekaj... Potrafię cię dogonić...

Nie zdołał jednak.

Pan Marvel zniknął mu na rogu ulicy.

Marynarz stał chwilę, wygrażał pięścią, wreszcie zawrócił do szynku.

— Nastraszyłem go!... — mruczał. — Odechce mu się kpinek. Stało przecie wyraźnie w gazecie!...

Nagle oczom majtka przedstawił się widok niezwykły. Wzdłuż muru sunęła garść, pełna pieniędzy... Chciał porwać pieniądze, ale dostał kułakiem w piersi i przewrócił się, jak długi. Gdy się podniósł, ręka z pieniędzmi już znikła.

Nasz marynarz był łatwowiernym, jak mieliśmy sposobność się przekonać, jednakże oczom własnym wierzyć nie chciał.

Tymczasem nie było to wcale złudzenie zmysłów. Widzieli tę garść z pieniędzmi wszyscy po drodze, nawet ludzie tak trzeźwi, jak urzędnicy banku, właściciele sklepów, restauracyj. Drzwi były wszędzie pootwierane z powodu pięknej pogody, a w każdych drzwiach stał przynajmniej jeden człowiek. Przed oczyma wszystkich migało to złoto, ściskane w garści. Ten i ów próbował wytrącić je z ręki, zawieszonej w powietrzu. Każda taka próba kończyła się... rozbiciem nosa o bruk uliczny.

Pieniądze, choć tego nikt nie widział, zostały wreszcie przelane do kieszeni owego jegomościa w przydeptanych butach i w wytartym kapeluszu pilśniowym.

Dopiero w dziesięć dni potem, słysząc o wypadkach w Burdock, marynarz z przed oberży zrozumiał, że Niewidzialny Człowiek otarł się wtedy o niego...

ROZDZIAŁ XV.

Człowiek, uciekający przed niewidzialną pogonią.

Wczesnym wieczorem siedział sobie dr. Kemp w swojej pracowni. Był to miły pokój o trzech oknach, wychodzących na północ, na zachód i południe; ściany pokryte były od dołu do sufitu niemal książkami w półkach i w szafach. Przy oknie zachodniem stało ogromne biuro, przy północnem — mikroskop, luneta i słoiki z preparatami w spirytusie.

Doktor pracował przy lampie, chociaż na dworze było jeszcze jasno, ale okna pozostawił otwarte. Kemp był młodzieńcem wysokim, blondynem, z wąsikiem tak jasnym, że niemal białym; pisał właśnie dzieło, które miało mu uzyskać dyplom członka królewskiej akademii nauk.

Oderwał wzrok od papieru i patrzał przez okno, podziwiając zachodzące słońce. Nagle uwagę jego zwrócił czarno odziany mężczyzna, który zbiegał z pagórka, na którym stał dom doktora.

(Ciąg dalszy nastąpi)

---

†

Franciszek Swaczina

obywatel miasta Lwowa

po długich i ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, zmarł dnia 31 sierpnia 1902 przeżywszy lat 58.

W nieutulonym żalu pogrążona żona zaprasza krewnych, znajomych i przyjaciół na obrzęd pogrzebowy, który odbędzie się we wtorek dnia 2 września b. r. o godzinie 5ej po południu z domu żałoby przy ul. Kochanowskiego l. 4 na cmentarz Łyczakowski do grobowca familijnego.

Lwów dnia 1 września 1902.

„CONCORDIA" A. Kurkowski ul. Sobieskiego l. 10.